

POLSKA w Europie

LA POLOGNE EN EUROPE
N° 6 (132) CZERWIEC 1967 ROK WYDANIA XVI
JUN ANNEE D'EDITION

Dnia 1 lipca 1967 r. — z dwuletnim opóźnieniem — zacznie działać nowa Komisja Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, złożona z 14 członków, która zastąpi trzy dotychczasowe egzekutywy: Wysoką Władzę E.W.W.S., Komisję „Euratomu” i Komisję E.W.G. Ta fuzja Egzekutyw jest poważnym etapem w życiu Wspólnoty Europejskiej; narazie jednak jest to tylko fuzja na szczeblu kierownictwa, gdyż traktaty paryski (E.W.W.S.) i rzymskie (E.W.G. i „Euratom”) pozostają nadal odrębne tak długo jak nie zostanie na ich miejsce wypracowany jeden tekst, obejmujący działalność wszystkich trzech Wspólnot.

Ale nawet tylko wspólne kierownictwo dziedzinami, obejmującymi praktycznie całość życia gospodarczego sześciu partnerów E.W.G., jest już dużym krokiem naprzód w kierunku dalszego zacieśnienia się interesów państw członkowskich.

Opóźnienie utworzenia wspólnej Komisji E.W.G., przewidzianej traktatem podpisanym na wiosnę 1965 r., spowodowane zostało w dużej mierze decyzją rządu francuskiego — a raczej gen. de Gaulle — niedopuszczenia prof. Waltera Hallsteina, dotychczasowego

1 lipca 1967 r. : Próba bilansu przed nowym etapem

przewodniczącego Komisji „Wspólnego Rynku” do kierownictwa nowej Komisji. Przetargi trwały długo, gdyż prof. Hallstein cieszył się poparciem nie tylko rządu N.R.F., ale także i pozostałych rządów, które podkreślały jego zasługi w tworzeniu „Wspólnego Rynku” i zupełną bezstronność w wykonywaniu jego funkcji. Następcą jego został Belg, Jean REY, dotychczasowy członek Komisji E.W.G., w której prowadził dział kontaktów zewnętrznych. Wybór swój zawdzięcza Jean REY sukcesom, jakie odniósł w negocjacjach taryfowych znanych pod nazwą „Kennedy Round”.

Wyniki tych największych w historii handlu międzynarodowego rokowań w sprawie taryf celnych omówimy w następnym numerze „P. w E.”, gdyż w ostatnich dniach dokonywane są jeszcze drobne retusze przyjętych w Genewie tekstów. Ograniczymy się narazie do podkreślenia jednej okoliczności, która dla budowy zjednoczonej Europy ma znaczenie zasadnicze. P. Jean REY, jako negocjator „Kennedy Round” przemawiał w imieniu całości E.W.G. Wspólnota Europejska — będąca, nie zapominajmy, pierwszą potęgą handlową (choć nie przemysłową) świata — zdobyła się, po raz pierwszy na taką skalę, na wspólną reprezentację swoich interesów. Wynikiem tego był sukces większości też E.W.G. w rokowaniach, w których najpotężniejszym konkurentem były Stany Zjednoczone Ameryki, największa potęga przemysłowa. Dla dalszych etapów zjednoczenia Europy doświadczenie rokowań genewskich ma wagę przykładu: wykazuje szanse zaważenia na losach świata jakie ma Wspólnota, pod warunkiem, że przemawiać będzie na zewnątrz jednym głosem!

Niedługo po zakończeniu rokowań genewskich odbył się w Rzymie od dawna oczekiwany i hałaśliwie zapowiadany „szczyt” Europy sześciu. Z dwumiesięcznym opóźnieniem, spowodowanym wyborami we Francji, obchodzono dziesięciolecie Traktatów

Rzymskich, podpisanych 25 marca 1957 r. — Prasa podała liczne i obszerne sprawozdania z uroczystości, cytowała poszczególne przemówienia, ale rzadko dotykała sedna rzeczy: W jakim stopniu zjazd rzymski posunął naprzód budowę zjednoczonej Europy? Pod tym względem bilans spotkania rzymskiego należy uznać raczej za skromny. Jeżeli chodzi o sprawę przyjęcia Wielkiej Brytanii do Wspólnoty Europejskiej, której ani aktualności ani znaczenia nie trzeba chyba podkreślać, nie zdecydowano nawet czy mają być rozpoczęte rokowania; oddano tę sprawę do rozważenia ministrom spraw zagranicznych. Jeśli chodzi o budowę Europy politycznej, to — choć w końcu maja wypadki na Bliskim Wschodzie weszły już były w stadium bardzo krytyczne i należało z tego wyciągnąć wnioski — zdecydowano odłożyć dyskusję nad tym problemem do nowego „szczytu”, przewidzianego na jesień br.

Do Rzymu zaproszono wszystkich ministrów, którzy podpisali Traktaty Rzymskie, a także czołowe osobistość które walczyły się do budowy Zjednoczonej Europy. Nie wszyscy odpowiedzieli na zaproszenie, a wśród nich Jean Monnet i Paul-Henri Spaak;

ten ostatni, w artykule ogłoszonym przez paryski „Le Monde”, uzasadnił odmowę przyjazdu do Rzymu ostrą krytyką postępowania państw członkowskich, a w szczególności rządu francuskiego.

Jeden z uczestników uroczystości rzymskich nie został dopuszczony do głosu na skutek, jak mówią, formalnego sprzeciwu gen. de Gaulle. Był nim prof. Walter Hallstein, ustępujący przewodniczący Komisji E.W.G., którego zasługi dla budowy Europy podniosła większość mówców. Ten sprzeciw nie miał wyjątkowo charakteru personalnego; gen. de Gaulle raz jeszcze chciał pokazać, że uważa Komisję E.W.G. za organ wyłącznie wykonawczy, poddany decyzjom Komitetu Ministrów, a nie za załączek przyszłego rządu europejskiego. Tak więc „szczyt” rzymski miał właściwie tylko jedną zasługę: tę, że się odbył!

Przemawiając po raz ostatni przed Parlamentem Europejskim w Strasburgu, prof. Hallstein sprzecywał swoje stanowisko wobec zjednoczenia Europy: Fałszywy realizm polegający na codziennym nadzorowaniu zachowania równowagi interesów (poszczególnych państw członkowskich) i na stosowaniu taktyki „z dnia na dzień”, która stać się może śmiertelną dla bardziej posuniętego zjednoczenia Europy, a wreszcie różnice w koncepcji polityki zagranicznej i obrony — oto niebezpieczeństwa przed którymi stoi budowa Europy. „Z zakończeniem budowy E.W.G. — ciągnął dalej prof. Hallstein — spełnimy jednocześnie najistotniejszy warunek osiągnięcia ostatecznego celu wszelkich wysiłków europejskich: Wspólnoty politycznej w pełnym słowa tego znaczeniu, to znaczy Wspólnoty, która obejmie także politykę obrony i politykę zagraniczną niegospodarczą i która oprze się na kompletnej konstytucji federalnej...: — Nasze doświadczenie nauczyło nas jednej rzeczy: aby zjednoczenie było prawdziwe należy stworzyć organ odpowiedzialny, autonomiczny, niezależny, europejski który mógłby prowadzić dialog

z przedstawicielami interesów narodowych. Potwierdziło się także, że wszyscy członkowie (Wspólnoty), także małe państwa, powinni być traktowani na stopie równości, co należy konstytucyjnie zagwarantować, a więc także iż model oparty na jakiejś hegemonii nie może mieć zastosowania. Wreszcie, jest oczywiste, że rozszerzenie zgrupowania (członków E.W.G.) nie może się odbyć ze szkodą dla dziedzin w których ono zdało już egzamin. A więc kompletna unia polityczna, która zagroziłaby istnieniu integracji politycznej, a chociażby tylko zamknęła perspektywę jej dalszego rozwoju byłaby cofnięciem sit Europy, a nie jej postępem”. Ten „testament polityczny” prof. Hallsteina jest obroną integracji europejskiej, bez której niema skutecznego działania Wspólnot; jest także ostrzeżeniem przed „rozwadnianiem” Europy pod pretekstem jej organizacji politycznej.

Odejście z funkcji kierowniczych b. Przewodniczącego Komisji E.W.G. — podobnie jak formalne wycofanie się z życia politycznego P.H. Spaaka — nie oznacza bynajmniej, że na przyszłość nie będą oni zabierali głosu w sprawach zjednoczenia Europy; przeciwnie, będą mogli wyrażać swoje myśli swobodnie, czego przykładem jest choćby cytowany artykuł w „Le Monde”.

Po spotkaniu rzymskim Wspólnota załatwiła kilka spraw dotyczących wspólnych cen rolniczych i poczyniła przygotowania do instalacji nowej Komisji, której skład nie jest jeszcze oficjalnie ogłoszony w chwili kiedy piszemy te słowa.

Spotkanie premiera Wilsona z gen. de Gaulle, którego celem miało być omówienie przystąpienia Wielkiej Brytanii do Wspólnoty Europejskiej nie dało praktycznie żadnych wyników, mimo gestów ze strony Anglików.

Wypadki na Bliskim Wschodzie raz jeszcze postawiły na porządku dziennym sprawę zjednoczenia Europy. Okazało się, że mimo zabiegów francuskich i brytyjskich — a więc krajów, które jeszcze 20 lat temu były „gospodarzami” w tym regionie — sprawa konfliktu Izrael-państwa arabskie ostatecznie zostanie zdecydowana przez Amerykanów i Rosjan. W swoim przemówieniu w Los Angeles, 24.VI.67 r. prezydent Johnson tak się wyraził na temat sturkundów amerykańskorosyjskich: „Wszystkie kryzysy ostatnich dwudziestu lat z konieczności odwoływały się do wspólnej odpowiedzialności (Ameryki i Rosji) i stale ujawniały się niebezpieczne konsekwencje niezupelnego zrozumienia się. Widzieliśmy także stale, że kiedy inni są nieodpowiedzialni w słowach lub czynach, szczególny ciężar zmartwienia spada na nasze barki”. — Tegoż dnia kanclerz Kiesinger, przemawiając przed Niemieckim Stowarzyszeniem Polityki Zagranicznej, powiedział: „Być może, że trzeba aby Europa upadła jeszcze niżej, aby poczuła konieczność swojego zjednoczenia politycznego!”

Jak w poprzednich kryzysach światowych, tak i w tym jaki wybuchł na Bliskim Wschodzie Europa nie odegrała, niestety, żadnej roli. Europa była nieobecna! Jeden z dziennikarzy francuskich ironizował, że wśród „Wielkich” jest dwu „Wielkich-wielkich”, i dwu „Wielkich-małych”, a poza tym Chiny. Przemówienia ostrzegające przed „nową Jaltą” nie wystarczą. Tak długo jak nie zostanie zbudowana nowa siła, posiadająca ciężar gatunkowy jednego z „Wielkich-wielkich”, tak długo Stany Zjednoczone i Rosja, a z czasem Chiny — decydować będą o losach świata. Tą siłą może i powinna być Europa, dokończona na płaszczyźnie gospodarczej i zbudowana na płaszczyźnie politycznej, to znaczy w dziedzinie polityki zagranicznej i obrony. Ale taka Europa musi być w s p ó l n y m dziełem wchodzących w jej skład krajów. Europa zbudowana na zasadzie najbardziej nawet sympatycznego „przywództwa” jednego kraju nie będzie nigdy trwałą. Aluzję do tego uczynił prof. Hallstein w cytowanym wyżej przemówieniu. Ale nie tylko on tak myśli! W wywiadzie udzielonym jednemu z pism francuskich,

(Dokończenie na str. 2)

FOREIGN FRIENDS, ATTENTION!

On page 8 we are publishing our „International Page” in English.

AMIS ETRANGERS, ATTENTION!

A la page 8 nous publions notre „Page internationale” en anglais.

ACHTUNG AUSLANDISCHE FREUNDE!

Auf der Seite 8 geben wir „Die Internationale Seite” in englischer Sprache.

FP 9519

EUROPEJSKA KONFEDERACJA b. KOMBATANTÓW w STRASBURGU

Europejska Konferencja b. Kombatantów powstała około 10 lat temu. Pierwszym jej inicjatorem był gen. Bethouart i miała ona być reakcją przeciw polityce Światowej Federacji b. Kombatantów (finansowanej przez amerykańską fundację Vanderbilta), która przyjęła jako członków organizację kombatanckie z za kurtyny wbrew podstawowej zasadzie, że stowarzyszenia powinny być całkowicie niezależne od rządów i rządzących się demokratycznymi statutami. Początkowo Europejska Konfederacja ograniczała swą działalność do wielkich złotów kombatanckich w miejscach pielgrzymek, jak Lourdes, co miało świadczyć o jej przywiązaniu do cywilizacji zachodniej i chrześcijańskiej, lub na polach wielkich bitew, jak Monte Cassino czy Verdun. Później Konfederacja postawiła sobie za cel obronę zachodnich wartości moralnych i cywilizacyjnych i zbliżenie między poszczególnymi narodami w płaszczyźnie europejskiej. Konfederacja, propagując ideę zjednoczonej Europy nie wypowiada się za taką czy inną szczegółową koncepcją, lecz stara się zgrupować w swym łonie wszystkich zwolenników Europy. Oczywiście nie ma w niej miejsca na organizacje komunistyczne, czy sympatyzujące z komunistami.

Ostatnio Konfederacja otrzymała status doradcy przy Radzie Europy w Strasburgu, to też w tym roku postanowiła odbyć swój wielki zjazd w tej stolicy myśli europejskiej. Zjazd odbył się w dniach 3 i 4 maja i wzięły w nim udział delegacje związków kombatanckich francuskich, belgijskich, holenderskich, luksemburskich, niemieckich, włoskich, greckich, hiszpańskich, węgierskich i polskich. Ze strony polskiej członkiem Konfederacji jest S.P.K. z Francji.

Prezsem Konfederacji jest obecnie b. minister V-jej Republiki, p. Raymond Triboulet, deputowany gaullistowski z Normandii (Calvados), od wielu lat nasz szczyry przyjaciel. I-ym wiceprezsem, inny nasz przyjaciel Płk. de Fougerolles. Siedzibą władz Konfederacji jest Paryż.

Pierwszy dzień zjazdu w Strasburgu poświęcony był obradom w Domu Europy, gdzie w prezydium zjazdu zasiadli pp. Alain Poher, przewodniczący Parlamentu Europejskiego (trzy Wspólnoty) — Ekonomiczna, Węgla i Stali oraz Atomowa) i René Radius, wiceprzewodniczący Rady Europy (a więc Europy „osiemnastu”), deputowany gaullistowski do Zgromadzenia Narodowego i I-szy zastępca mera Strasburga, którym jest p. Pierre Pflimlin.

(dokończenie ze str. 1)

belgijski minister spraw zagranicznych Pierre Harmel tak określił swoje stanowisko: „Czy Wspólnota europejska nie mogłaby się okazać za małą, jeżeliby jeden z jej członków starał się swoją akcją zdobyć dla siebie pierwsze miejsce i jeżeliby inny... zechciał go naśladować? Czy nie doprowadziłoby to do zachwiania równowagi, gdyby pewnego dnia ten rodzaj współzawodnictwa rozpaczał się między Francją a Niemcami, a tymczasem Belgia przykłada tak wielkie znaczenie do zblżenia między nimi, bo jakże mogłoby być inaczej?”

Minister Harmel omawiał wejście Wielkiej Brytanii do Wspólnot Europejskich. Jest to dla niego „zagadnienie europejskie Nr. 1”, a zdaje się nie tylko dla niego. Tylko przystąpienie Wielkiej Brytanii (nie licząc już kilku innych mniejszych krajów) może dać Wspólnocie Europejskiej wymiary potęgi światowej. Dla ministra Harmela do prac nad budową Europy politycznej trzeba od początku wsiągnąć Brytyjczyków, tym więcej że deklarują oni iż przyjmują jako bazę przyszłych negocjacji nie tylko tekst Traktatu Rzymskiego, ale i dalsze cele które przyswierały jego twórcom, a więc budowę Europy na odcinku polityki zagranicznej i obrony.

Kryzys na Bliskim Wschodzie stał się mimowolnie katalizatorem zjednoczenia Europy. Parlament Europejski wypowiedział się za udziałem Wspólnoty Europejskiej, jako całości a nie tylko poszczególnych jej członków, w rokowaniach nad likwidacją sporu izraelsko-arabskiego. Życzących sobie należało aby nowy przewodniczący Komisji E.W.G. Jean REY odegrał w tych rokowaniach również skuteczną rolę, jak w negocjacjach nad „Kennedy Round”. Aby się jednak tak stało musi — raz jeszcze — być rzecznikiem całej Wspólnoty.

Spadek jaki Jean REY odziedziczył 1 lipca po swoich poprzednikach jest ciężki. O ile wyniki E.W.G. są naogół dobre, stan dwu innych Wspólnot, E.W.W.S. i „Euratomu” przedstawia wiele do życzenia. Jest on w dużej mierze skutkiem braku koordynacji między Wspólnotami, czemu właśnie jednolite kierownictwo powinno zaradzić. Na odcinku „Euratomu” nadzieje spoczywają w powodzeniu rokowań nad powstaniem wspólnego europejskiego organu obrony, w szczególności w dziedzinie broni atomowej. Ten ostatni problem jest jednak ściśle związany z obecnością — lub nieobecnością — Wielkiej Brytanii (posiadającej broń atomową) we Wspólnocie Europejskiej. Bez jej udziału,

na zasadach Traktatu Rzymskiego, można wątpić czy Europa stanie się w najbliższym okresie potęgą o znaczeniu światowym. Prawdziwym „Wielkim-wielkim”!

Przed południem przemawiali kolejno przedstawiciele poszczególnych delegacji. Z ramienia polskiej delegacji zabrał głos M. Czarnecki, prezes S.P.K. we Francji i m. in. powiedział:

„...Ostatnia wojna pozostawiła nam ciężki spadek. Europę dzieli linia rozłamu, linia dwóch światów, dwóch koncepcji społeczeństwa i wolności, dwóch filozofii. Jeden z tych światów, świat zachodni, czerpie swe zasady w tradycjach sokratycznych, chrześcijańskich i humanistycznych; drugi podporządkowuje prawa człowieka i podstawowe wolności bezwzględnej doktrynie materialistycznej i interesom jednej partii. Z jednej strony tej linii podziału społeczeństwa wolnych ludzi, z drugiej ludzie, których ideałem byłoby społeczeństwo mrówek.

„Jak doszło do tego? Jak mogliśmy zgodzić się z tym podziałem, z tymi murami i drutami, jakiego Europa nie znała od swego zarania? Być może, że u podłoża tego leży obojętność mas obywateli w stosunku do spraw politycznych. Istnieje wiele smutnych lektur na ten temat i pozwól sobie zacytować jedną Gastona Bouthoula z jego „Socjologii polityki”: „To dlatego — pisze on — wielką politykę międzynarodową w której błędy kierowników rujną miasta i zapełniają cmentarze, tworzy się i ustala ostatecznie na najbardziej elementarnym szczeblu uproszczeń i uogólnień. Do tego stopnia, że z niepokojem można sobie stawiać pytanie, czy polityka często nie jest najbardziej prymitywną formą intelektualnej działalności. Konsternacja ogarnia człowieka przy czytaniu sprawozdań z Konferencji Jałtańskiej, kiedy to w czasie rozmów godnych „Kawiarni Kupieckiej” („Café du Commerce”) dokonano podziału Europy”.

„Żeby Europa powstała, żeby móc wyciągnąć ręce ponad granicami, te granice muszą złączyć, a nie dzielić. Bo to kwestionowane granice, od zarania naszej historii, były najczęstszym powodem wojen. Ponieważ my potępiiliśmy wojnę raz na zawsze, obecne granice, takie jakie są, muszą być uznane za ostateczne. W naszej epoce nie zmienia się granic w drodze pokojowej, to niemożliwe, to jest ludzeniem siebie. W jakim celu więc podtrzymuje się to jako sporny problem który podkopuje zaufanie? A zaufanie jest warunkiem sine qua non Europy o której mówimy...”

Niektórzy rodacy mieli pewne wątpliwości jakie granice miał na myśli mówca? Chyba nie powinno być pod tym względem żadnych wątpliwości. Był to zjazd zachodnio-europejski, gdzie stale się mówi o pojednaniu z Niemcami i pod naszym adresem sugeruje się, że powinniśmy pójść śladem Francji, Belgii i innych państw. Była to niedwuznaczna chyba odpowiedź na te sugestie: „by do tego mogło dojść, by można mówić o pokoju, kwestionowane granice powinny być ostatecznie uznane.” Zresztą późniejsze dyskusje wykazały, że nikt nie miał wątpliwości, że to dotyczyło granicy na Odrze i Nysie.

PROKLAMACJA

Popołudnie pierwszego dnia poświęcony pracom w komisjach, których było dwie: przygotowania tekstu uroczystej proklamacji i programu działania. Delegaci polscy (M. Czarnecki, S. Domański i T. Parczewski) brali udział w obu komisjach. Po uchwaleniu projektów obu komisji na plenum zamknięto obrady (tekst „proklamacji” podajemy oddzielnie), po których odbyło się przyjęcie delegatów lampką wina w salach ratusza Strasburga przez radę miejską. W jej imieniu przemawiał pierwszy zastępca mera, René Radius i zwracając się do delegatów niemieckich powiedział: „My przebaczyliśmy, ale nie możemy zapomnieć i nie wolno zapomnieć, bo zapomnienie byłoby otwarciem drogi do nowych nieszczęść...” Podobnie w czasie obrad mówił delegat belgijski Paul Lévy, który dodał, że zapomnienie oznaczałoby hipokryzję.

Następny dzień rozpoczął się uroczystym nabożeństwem w pięknej katedrze strasburskiej, poczym uformował się pochód i przeszedł przez miasto do pomnika poległych, gdzie prezes Konfederacji wraz z prezsem honorowym złożyli wieniec. W dalszym ciągu przeszedł na plac Broglie, gdzie pierwszy przemówił do delegatów i do zebranego tłumy ludności Strasburga mer tego miasta, Pierre Pflimlin, by premier i wielokrotny minister. Po innych przemówieniach odczytano na zakończenie uchwaloną poprzedniego dnia proklamację w językach reprezentowanych delegacji. Po polsku odczytał ją S. Domański.

Ogółem w tej publicznej manifestacji, według oceny wydawnictwa oficjalnej „Agence France-Presse”, wzięło udział około 20.000 osób.

PROKLAMACJA EUROPEJSKIEJ KONFEDERACJI BYŁYCH KOMBATANTÓW

uchwalona w Strasburgu 3 maja 1967 r.

My, byli kombatanci krajów europejskich, ofiary wojen które zniszczyły nasz kontynent, odrzucając namiętności nacjonalistyczne, będące źródłem konfliktów,

- stwierdzając, że nasze podziały doprowadzają nas do niemości i uniemożliwiają pobieranie decyzji w skali światowej;
- stwierdzając, że jedynie zjednoczenie umożliwi w pełni osiągnięcie postępu w nauce i technice, które są warunkami dobrobytu dnia jutrzejszego;
- stwierdzając, że zjednoczona Europa jest jedynym rozwiązaniem większości naszych wielkich problemów, a w pierwszym rzędzie zagadnienia pokoju;
- rozumiejąc, że zjednoczenie Europy musi nastąpić jak najrychlej dla ugruntowania i rozszerzenia dotychczasowych osiągnięć;
- przekonani, że zjednoczona Europa powinna być zbudowana przez wszystkich i dla wszystkich i że powinna objąć wszystkie narody przepojone cywilizacją europejską i to w harmonii z narodami innych kontynentów, które ją uznają za swoją;
- przekonani, że poza strukturą gospodarczą Europa powinna stanowić siłę duchową ożywną przez nasze tradycje w służbie godności człowieka, wolności i postępu społecznego;
- zdając sobie sprawę, że budowa zjednoczonej Europy wymagać będzie już teraz ofiar, które są jednak niewspółmiernie małe w stosunku do katastrof przeszłości, ale które otwierają drogę do pokoju i dobrobytu;
- świadomi tego stanu rzeczy, my, byli kombatanci postanawiamy oddać się całkowicie w służbę idei europejskiej, ażeby przez to przyczynić się do rozbudzenia tej idei wśród narodów Europy ukształtowanych przez tę samą cywilizację chrześcijańską i humanistyczną, oraz aby wreszcie dać światu przykład pokoju europejskiego.

KONFEDERACJA EUROPEJSKA BYŁYCH KOMBATANTÓW, zgromadzona 3 maja 1967 roku w Strasburgu w siedzibie Rady Europy, zwraca się z apelem do wszystkich, a przede wszystkim do młodzieży, jak również do wszystkich sił żywotnych naszego kontynentu, ażeby na każdym szczeblu, szczególnie władz lokalnych, została podjęta, w drodze konkretnych osiągnięć, wydajna akcja na rzecz braterskiej Europy.

„EWOLUCJA”

Na uwagę zasługuje ustęp z doskonałego, niewątpliwie najlepszego przemówienia w czasie obrad, wspomnianego już delegata belgijskiego Paul Lévy. Do ub. roku był on, od powstania Rady Europy, jej dyrektorem informacji. Na własną prośbę opuścił to stanowisko, nie zgadzając się z nową linią polityczną Rady. Tę zmianę linii zobrazował następującym przykładem:

„Byłem świadkiem, w tej samej sali, w której w tej chwili obradujemy, jak zebranych tu posłów, członków Rady, ogarnął święty gniew z powodu zmiażdżenia powstania węgierskiego. W dziesięć lat później, w ub. roku, z okazji 10-jej rocznicy tego powstania, miejscowe koło Kombatantów Budapesztu postanowiło złożyć Radzie swą uchwałę, powziętą z racji tej rocznicy. Wiecie jaką osobistość wyznaczono do przyjęcia ich delegacji? — Woznego! Ten wózny to mój przyjaciel, był wzruszony i oburzony, bo sam byłem kombatantem i udekorowanym za czyny wojenne...”

Wszyscy jesteśmy świadkami ewolucji w stosunkach Zachodu ze Wschodem. Nie zawsze jesteśmy jej przeciwni, bo Zachód powinien być wrażliwy na to, co się dzieje po drugiej stronie kurtyny i na każdy objaw liberalizacji reagować zbliżeniem — a wszystkie próby nawrotu do metod terroru i gnębienia wolności natychmiast potępiać i odsuwać się od tych, którzy je stosują. Specjalnie wrażliwa na to powinna być właśnie Rada Europy, która właściwie stanowi forum publicznej opinii europejskiej, bo nie ma żadnych kompetencji wykonawczych — ktoś słusznie określił, że powinna być „sumieniem Europy”. Przez długi czas była — ale ostatnio zaczynają w jej łonie działać siły, które bardzo niechętnie słuchają wspomnień o Budapeszcie, czy w ogóle aluzji do nieposzanowania podstawowych praw człowieka i jego wolności — oczywiście jeżeli idzie o kraje leżące na wschodzie. Ciekawe, że te nowe tendencje zaczynają przybierać na sile nie tyle pod wpływem wschodniej polityki generała de Gaulle'a, lecz od chwili gdy dwa czelowe stanowiska w Radzie, przewodniczącego i sekretarza generalnego, objęto dwóch Anglików.

Masówki „uchodźców” niemieckich

Kiedy w prasie polskiej piszemy o Niemcach z Europy Wschodniej (nie koniecznie z Polski), żyjących dziś w Niemieckiej Republice Federalnej, używamy terminu „przesiedleńcy”. Oni sami używają dla siebie nazwy „uchodźców”, co wprowadza nieporozumienie. Jeżeli taka nazwa jest słuszna, to „uchodźcą” musiałby być także Polak ze Lwowa mieszkający we Wrocławiu. Termin „uchodźca” należy do tych, które wskazują na tymczasowość jego pobytu i nie przyczyniają się do znormalizowania stosunków polsko-niemieckich. To jest „technika polityczna” podobna do tej, którą stosują Arabi w stosunku do b. mieszkańców Palestyny. Dlaczego ją stosują, wykazały ostatnie wypadki na Bliskim Wschodzie!

Otóż owi „uchodźcy”, nazywający się także „pozabawionymi ojczyzną”, co chyba nie jest komplementem dla Niemieckiej Republiki Federalnej — lubią się zbierać. Ich zebrania, to nie jakieś zjazdy czy kongresy obradujące nad interesującymi ich problemami, ale masówki kilkudziesięcio — a czasem kilkusetosobowe, przypominające do złudzenia „Parteitagi” z epoki hitlerowskiej. Do zebranych tłumów przemawia się najczęściej podniecając ich nienajlepsze instynkty, a tłumy odpowiadają okrzykami na cześć tych, którzy przemawiają. Według starej tradycji, tłumom daje się to czego chcą, to znaczy chleba i grzysk. „Chleb” jest oczywiście symbolem dobrego obiadu, a igrzyska przybierają postać występów śpiewaków i tancerzy. Często, po wypiciu pewnej ilości piwa, repertuar piosenek „uchodźców” zaczyna w nas budzić wspomnienia okresu... błędów i wypaczeń.

Na takich „Tagach” przesiedleńców zabierają głos czołowi politycy niemieccy. Do tego tematu wrócimy niebawem, dziś tylko przypominamy, w dwu słowach, nasze stanowisko wobec związków przesiedleńców. W każdym wolnym kraju obywatele mogą się grupować w takie związki, jak im się podoba. Bylibyśmy niezgodni z naszymi własnymi zasadami żądając rozwiązania Landsmannschaften i ich naczelnej organizacji Bund der Vertriebenen. Mamy jednak prawo wymagać od rządu, który głosi hasła normalizacji stosunków z Europą Wschodnią dwu rzeczy: 1. — Ani rząd federalny, ani rządy Landów nie powinny ze swoich budżetów finansować tych organizacji i utrzymywać sztabu ich płatnych pracowników; 2. — Członkowie rządu federalnego i rządów Landów nie powinni brać udziału w masówkach przesiedleńców, a tym więcej wygłaszać na nich przemówień wzbudzających nadzieje powrotu. Zaszczerzone w ten sposób sumy mogą być z pożytkiem przeznaczone na renty dla byłych „kacetowców”, a nadzieje na powrót większość krzyżujących „uchodźców” już dawno straciła.

Ze strony niemieckiej wychodzą coraz częściej zachęty pod adresem Polaków do „dogadywania” się z wysiedleńcami. Argumentacja jest różna w zależności od osoby, która z taką zachętą występuje. Najczęściej się słyszy, że wysiedleńcy są „wazymy towarzyszami niedoli”, albo że „oni są najlepiej rozumieją”. Jeśli chodzi o „towarzyszy niedoli”, to albo za dużo albo za mało. Co zaś do zrozumienia, to różnie z tym bywa!

W ostatnich masówkach, np. w zjeździe niemieckich „Pomorzan” w Dortmundzie wzięło udział dwu czy trzech „działaczy”, Polaków albo udających Polaków. Chociaż chodzi tu oczywiście o ludzi, mówiąc stylem prasy komunistycznej w Polsce... marginesowych, prasa niemiecka robi im reklamę, a pisma krajowe z lubością będą się nad ich obecnością rozwodzić. Nie to jest jednak specjalnie ważne.

Pismo nasze nie kryje, że jest za dialogiem polsko-niemieckim prowadzącym do normalizacji stosunków między Polakami a Niemcami. Ale nie mamy wcale zamiaru dialogu ograniczać do wysiedleńców! Wbrew pozorom, które starają się stworzyć niektórzy przywódcy niemieccy, to nie wysiedleńcy decydują o polityce Niemieckiej Republiki Federalnej. Wie o tym doskonale i kanclerz Kiesinger i min. spraw zagranicznych Brandt, bo przecież znają statystyki wyborcze: od lat listy „uchodźców” nie przeprowadziły ani jednego posta do Bundestagu, a ci przesiedleńcy, którzy zasiadają w parlamencie zostali wybrani z list chrześcijańskiej demokracji, socjalistów lub liberałów. Dla dyskusowania spraw polsko-niemieckich istnieją dwa poziomy: sprawy o charakterze państwowym można z Niemcami dyskutować w Bonn i tylko w Bonn, a nie na masówkach „ziomków”; sprawy o charakterze współżycia ludzi można — i trzeba — dyskutować ze wszystkimi Niemcami dobrej woli, nie interesując się specjalnie miejscem ich urodzenia. W rozpoczętych pod egidą Międzynarodowego Komitetu dla Popierania Dialogu Polsko-Niemieckiego rozmowach biorą z pożytkiem udział także Niemcy urodzeni w Odrze i Nysie; ale występują oni jako Niemcy, a nie jako „uchodźcy”. Jak z tego widać, nie staramy się systematycznie eliminować z kontaktów polsko-niemieckich Niemców z Odry; nie znaczy to jednak wcale, że organizacje rewizjonistów mają być naszym kanałem do rozmów z Niemcami. Byłoby to

politycznym nonsensem, z czego zdają sobie sprawę nasi niemieccy partnerzy i wcale tego od nas nie żądają.

Stanisław Czechanowski pisze w londyńskim „Dzienniku Polskim” z 1.VI.67 r. o masówce „Pomorzan” w Dortmundzie. Przypominamy, że w notatce p.t. „Polacy i Europa” w poprzednim numerze „Polski w Europie” pisaliśmy już o akcji rekrutacyjnej Dominika MARCO-LA, który werbował działaczy polskich na tę masówkę; pomyliliśmy się jednak co do miejsca zjazdu: odbył się on w Dortmundzie a nie w Düsseldorfie.

Tego rodzaju imprezy jak masówki „uchodźców” zaczynają coraz bardziej irytować wielu działaczy niemieckiej partii socjalistycznej S.P.D., którzy wyrzucają przywódcę socjalistów Willy Brandtowi, że podżyruje tradycyjną politykę chrześcijańskiej demokracji, której hasłem jest negowanie istniejącej rzeczywistości: granicy na Odrze i Nysie i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Do najruchliwszych krytyków Brandta należy znany pisarz Günther Grass.

„O dialog polsko-niemiecki”

LUDWIGSHAFEN (W) „Polska w Europie i niemieckie zadania” — tak można określić zeszyt tygodniowy większy mityng, jaki miał miejsce w Ludwigshafen w ramach t.zw. „Akcji Europejskiej 67”. W mityngu udział wzięli przedstawiciele Związku Krajowego Nadrenii i Palatynatu przy Europejskiej Unii Niemiec (1). Obrady poświęcone były stosunkom niemiecko-polskim z głównym celem wniesienia wkładu do zbliżenia między obu narodami.

Referentem był nadburmistrz Oskar Munzinger z Zweibrücken, który stwierdził, że stosunki polsko-niemieckie nie są obciążone dopiero z chwilą wybuchu II wojny światowej, ale stanowią problem od wielu setek lat. Hitler szukał rozwiązania we wschodniej Europie i uzyskał je, ale „w odwrotnym stosunku” do swych zamierzeń.

Odnosnie granic na Odrze i Nysie Munzinger stwierdza: „Niemcy nie mogą się uwolnić z balastu Hitlera przez oświadczenie, że nie powinni przystąpić do jego poczynań.” Ale porozumienie może być uzyskane, jeśli obie strony zdobędą się na uczciwą odwagę. Pod rządami Hitlera, Niemcy podeptali nogami prawo narodów. Temu narodowi (Polakom — dop. red.) zupełnie słusznie przychodzi dziś ciężko znaleźć zrozumienie dla powołujących się na prawo narodów — stwierdził referent, który w końcowych wywodach dochodzi do konkluzji:

„Polityka siły nic nam nie dała. Musimy z sobą rozmawiać.” To jest zdaniem Munzingera — jedyna dziś możliwość wyjścia z impasu i podążenia do sprawiedliwości historycznej (2).

(1) Chodzi tu o organizację niemieckich federalistów „Europa-Union”.

(2) Nie znając oryginału, zachowujemy wiernie tekst tłumaczenia jakie znaleźliśmy w „Ostatnich Wiadomościach”.

(„Ostatnie Wiadomości”, Mannheim, nr. 35 z 10 maja 1967 r.).

„DAS POLNISCHE MILLENIUM”

Inny uczestnik spotkania dziennikarzy polskich i niemieckich w Metz, książd prałat Helmut HOLZAPFEL zamieścił w piśmie „STIMMEN DER ZEIT” (Monachium, wrzesień 1966 r.) obszerny (14 stron) artykuł p.t. „Das polnische Millennium”. Ks. HOLZAPFEL jest, jak już kiedyś pisaliśmy, autorem wielkiej książki p.t. „Tysiąc lat kościoła w Polsce”.

« POLSKA W EUROPIE »

NIE JEST PISMEM UCHODźCÓW ANI EMIGRANTÓW. — JEST TRYBUNĄ EUROPEJCZYKÓW JĘZYKA I KULTURY POLSKIEJ, BĘZ WZGLĘDU NA RODZAJ PASZPORTU JAKI POSIADAJĄ »

Jak komuniści

ścigają zbrodniarzy hitlerowskich?

W numerze 21/385 reżymowej „KRAJOWEJ AGENCJI INFORMACYJNEJ” szeroko rozsyłanej do instytucji i pism w wolnym świecie znajdujemy następującą notatkę:

Współdziałanie w ściganiu zbrodni hitlerowskich

„Na zaproszenie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, odbyła się w dniach 17-19 maja br. konferencja ekspertów od badania i ścigania zbrodni hitlerowskich z Bułgarskiej Republiki Ludowej, Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej, Federacyjnej Republiki Jugosławii, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Socjalistycznej Republiki Rumunii, Węgierskiej Republiki Ludowej, Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. W wyniku przeprowadzonej na naradzie wymiany doświadczeń i poglądów, uczestnicy narady postanowili pogłębić i poszerzyć współpracę w dziedzinie badania zbrodni hitlerowskich, ścigania ich sprawców oraz wymiany materiałów, dokumentów i informacji w tej sprawie.”

Otóż w niecałe dwa tygodnie później konferencja prasowa Simona WIESENTHALA, stojącego na czele żydowskiego biura poszukiwania zbrodniarzy hitlerowskich w Wiedniu, rzuciła ciekawe światło na tę warszawską konferencję i jej uchwały. Wiesenthal, który ma za sobą wykrycie Eichmana i wielu innych znanych zbrodniarzy hitlerowskich — poświęcił swoją konferencję prasową tym, którzy dotychczas spokojnie mieszczą — bo się wcale nie ukrywają, choć kilku zarabizowało swoje nazwiska — w Egipcie, Syrii i innych krajach arabskich. Wiesenthal wymienił nazwiska — prawdziwe i noszone obecnie — przez zbrodniarzy hitlerowskich oraz ich dawne i obecne funkcje. Stwierdził, że cieszą się oni opieką władz miejscowych, a wielu z nich osobistą opieką Nasser; zajmują stanowiska w aparacie państwowym.

Na zakończenie Wiesenthal zrobił najważniejszą uwagę. Dlaczego państwa komunistyczne, które od lat głośno krzyczą, że trzeba ścigać zbrodniarzy hitlerowskich nigdy nie zażądały wydania im tych, którzy przebywają w zaprzyjaźnionych z Sowietami krajach arabskich, choć znają ich z nazwiska i doskonale wiedzą o ich zbrodniczej przeszłości? To jest chyba najbardziej istotne pytanie.

Dlaczego to tow. MOCZAR, który interesuje się najmniejszym działaczem polskim poza krajem, a jest nie tylko najwyższym zwierzchnikiem Bezpieki, ale i prezesem oświatowego Z.B.O.W. i D. u nie poświęci trochę czasu na zbadanie czy aby Simon Wiesenthal czasem niema trochę racji. Mógłby z nim nawet korespondować po polsku, bo Wiesenthal jest architektem ze Lwowa!

Konferencja o której pisze „Krajowa Agencja Informacyjna” na pewno nie pominęła tak ciekawego tematu jak sposób dostania w „socjalistyczne” ręce hitlerowskich zbrodniarzy ukrywających się u arabskich przyjaciół komunistów. Ale dlaczego komunikat nic na ten temat nie mówi? Na przyszłą tego rodzaju konferencję radzimy zaprosić Simona WIESENTHALA!

„AKCJA ODRA-NYSA”

Londyn (DP) — Pięciu neohitlerowców, przy których znaleziono broń i materiały wybuchowe, stanęło przed sądem w Genui oskarżonych o organizowanie spisku politycznego.

Neohitlerowcy — 4 Włochów i 1 Niemiec — przyznali się, że są członkami włoskiej sekcji neohitlerowskiej „Akcja Odra-Nysa” („AKON”), założonej w roku 1966 w Genui.

Aresztowanie nastąpiło, gdy policja prowadząca dochodzenia w sprawie przygotowanego zamachu na włoskiego ministra spraw wewnętrznych Paolo Taviani, wpadła na trop organizacji „AKON”.

Zamach miał być wykonany w czasie wizyty ministra w Genui w ub. miesiącu. Na skutek anonimowych informacji wizyta została odwołana.

Aresztowani członkowie organizacji „AKON” przyznali się do planowania szeregu „sensacyjnych” zamachów, dzięki którym cały świat musiałby znowu zwrócić uwagę na sprawę zjednoczenia Niemiec i przywrócenia im granic z r. 1939.

Broń i materiały wybuchowe odkryto w zamaskowanym tunelu na peryferiach Genui.

(„Nowy Świat”, nr. 108 — 10.V.1967 r.).

Przyp. Redakcji: O działalności AKON'u na terenie Francji pisaliśmy w numerze 7/8. 1964 r. „P. w E.”. Dobrzeby się stało, jeżeliby p. Taviani i inni jego koledzy otworzyli oko na „AKON” i pokrewne organizacje.

Dwie integracje

Na swoje dziesięciolecie, E.W.G. może zanotować zarówno wiele sukcesów jak i wiele niepowodzeń. Sukcesy dotyczą dziedziny ściśle ekonomicznej: obniżanie cel, szereg postanowień dotyczących migracji i kapitału i siły roboczej, uporządkowanie wymiany produktów rolniczych wewnątrz "Szóstki" — mniej lub więcej według planów integracyjnych Traktatu Rzymskiego z r. 1957. Pomyślne zakończenie „rundy Kennedy'ego”, zgłoszenie Wielkiej Brytanii do E.W.G. i ożywione tendencje wszystkich krajów E.F.T.A (A.E.L.E.), aby funkcjonalnie zintegrować się ze Wspólnym Rynkiem — jest nowym potwierdzeniem sukcesu gospodarczego E.W.G. Wymiana handlowa we wzajemnym obrocie państw „Szóstki” w ciągu 10 lat wzrosła ok. 75% i dalej wzrasta. Jest to zjawisko bezprzykładne. E.W.G. pod względem dynamiki i rozmiarów obrotu wewnątrz swojego obszaru — pobiło nawet Stany Zjednoczone, jeśli chodzi o rozwój ich handlu wewnętrznego.

Natomiast znacznie gorzej wygląda integracja na płaszczyźnie politycznej. Zamiarem inicjatorów Traktatu Rzymskiego było niewątpliwie, aby procesowi integracji ekonomicznej towarzyszyły równoległe procesy integracji politycznej, które poprzez początkowe wzajemne konsultacje parlamentów i rządów — doprowadziłyby do stworzenia wspólnych organów ponadpaństwowych, zarówno ustawodawczych jak i wykonawczych. W ten sposób ustowiona została droga do ostatecznie i całkowicie zjednoczonej Europy — mówiąc bardziej obrazowo do Stanów Zjednoczonych Europy, prowadzących — prócz wspólnej polityki gospodarczej i socjalnej — również wspólną politykę zagraniczną i politykę obrony. Ten zaplanowany proces integracji politycznej został brutalnie zahamowany przez Gen. de Gaulle deklaracją o Europie jako „Europie ojczyzn” z r. 1961. Generał nie podpisywał Traktatu Rzymskiego. Doszedł do władzy w r. 1958 i czuł się mniej związany z literą i duchem Traktatu niż jego poprzednicy. Gen. de Gaulle nadal stanowi główną i jedyną przeszkodę do dalszej ewolucji E.W.G. po linii politycznej. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że czerwone światło na tej drodze, będzie tak długo zapalone, jak długo Generał będzie czynnikiem rozstrzygającym o polityce Francji.

Ostatnie pomyślne wydarzenia na odcinku integracji ekonomicznej zawierają już w sobie szereg zarodków procesów nieuniknionej integracji instytucjonalnej na niższych szczeblach administracji, a w tej dziedzinie veto Francji niewiele pomoże. Państwa-członkowie E.W.G. będą już w niedalekiej przyszłości zmuszone do zintegrowania systemów podatkowych, opłat fiskalnych, ubezpieczeń społecznych, komunikacji i kto wie czy także nie waluty. Marsz E.W.G. w kierunku integracji politycznej nie jest więc i nie może być całkiem zatrzymany, jeśli rozwój obrotów wewnątrz E.W.G. ma dać oczekiwane korzyści ekonomiczne — dla jego członków i dla całości Wspólnego Rynku.

W tym samym roku w którym podpisano Traktat Rzymski została zgalwanizowana, zreformowana i zaktywizowana tak zwana Rada Wzajemnej Pomocy Ekonomicznej w bloku sowieckim, zwana popularnie Komekonem. Organizacja ta wprawdzie powstała już w r. 1949, ale początkowo funkcje jej przypominały funkcje sowieckiego imperium kolonialnego, rozporządzającego zasobami państw satelickich, celem zmuszenia ich do udziału w odbudowie zniszczeń wojennych w Związku. Nie stanowiący już dzisiaj tajemnicy wzrost krajów satelickich przez moskiewską metropolię musiał się zaważyć jako system po śmierci Stalina i po rozbiciu maszyny terroru w skali całego bloku, czego skutkiem był Poznań i „Październik” w Polsce i rewolucja na Węgrzech w r. 1956. Chruszczow wówczas zrozumiał, że stary system eksploatacji satelitów załamał się i przestał spełniać swoje zadanie.

Gdy w roku 1957 powstała E.W.G. — w Związku postanowiono stary Komekon zreorganizować w sposób mogący stanowić przeciwwagę do E.W.G. — zarówno w Europie, jak i w stosunku do krajów spóźnionych w rozwoju na całym świecie. Mentalność przywódców sowieckich sprawiała, że zawsze aż do dzisiejszego dnia traktują E.W.G. jako bazę gospodarczą NATO-OTAN w zachodniej Europie — stąd też zreorganizowany Komekon miał fungować przede wszystkim jako baza gospodarcza Paktu Warszawskiego. Ten sposób myślenia przywódców w Moskwie straszy jeszcze dzisiaj m. in. znalazł on wyraz w deklaracji z 25 kwietnia br. o nowym systemie bezpieczeństwa europejskiego, uchwalonej na konferencji partii komunistycznych Europy w Karłowych Varach. W dokumencie tym mówi się jednym tchem o potrzebie rozwiązania wrogich bloków — pod czem rozumie się nie tylko E.W.G. i Komekon (w celu integracji całej Europy w sensie ekonomicznej), ale także i o rozwiązaniu NATO i Paktu Warszawskiego — najwidoczniej upatrując współzależność organiczną między integracją wojskową i eko-

nomiczną, w stopniu daleko wyższym niż to jest praktykowane na Zachodzie.

W Związku, podobnie jak w Wielkiej Brytanii, początkowo nie wierzono w powodzenie E.W.G., zresztą na podstawie zupełnie różnych przesłanek. W Moskwie obowiązywał dogmat marksistowski, że państwa kapitalistyczne z samej natury są imperialistyczne i że przeciwieństwa interesów między nimi muszą prowadzić do rywalizacji, wojen i wzajemnej wrogości. Pierwsze trzy lata E.W.G. były prawdziwym zaskoczeniem dla Sowietów. „Prawda” pisała długie artykuły na temat, że powodzenie E.W.G. jest pozorne i chwilowe, że jest sprzeczne z prawami ekonomii marksistowskiej — i że musi się niebawem rozlecieć. Chruszczow w jednej ze swych mów — nazwał E.W.G. „tworem przeciwko naturze”. Sowiety do dziś nie pogodziły się doktrynalnie z sukcesem E.W.G. i nazywają go sukcesem wielkich monopolów, uzyskany przez zwiększony wyzysk klasy robotniczej i ich rosnącą biedę w państwach „Szóstki”. Fakty przeczą temu jaskrawie, tem gorzej więc dla faktów.

Zasady integracji Komekonu zostały zmienione w r. 1957, jej ramy gospodarcze rozszerzone i miały obejmować stopniowo wszystkie dziedziny — od handlu zagranicznego, poprzez kooperację przemysłową całego bloku, poprzez planowanie gospodarcze wszystkich państw-członków, koordynację inwestycji i szeroko zakrojoną współpracę naukowo-techniczną. Nowy statut Komekonu z r. 1960 przewidywał utworzenie centralnej organizacji kontroli, której zadaniem miało być dozowanie członków w zakresie wykonywania uchwał Rady Komekonu i poleceń jego Komitetu Wykonawczego. Nigdy do tego nie doszło!

Komekon różnił się jednak diametralnie od E.W.G. jeśli chodzi o samą bazę rozwoju. W E.W.G. pełna integracja polityczna była celem ostatecznym, którego realizacja miała nastąpić w nieokreślonym, choć nie bardzo odległym czasie. Pierwszeństwo miały sprawy gospodarcze, a dopiero na bazie stopniowego zcalania gospodarczego miały powoli powstawać — na zasadzie realnych potrzeb — poszczególne instytucje nadbudowy politycznej, mające kiedyś w przyszłości doprowadzić do pełnego zjednoczenia. E.W.G. mimo przeszkód posuwa się po tej drodze, choć wolniej niż przewidywano w r. 1957.

Komekon miał zupełnie inny punkt startu. W odróżnieniu od E.W.G. istniał już na jego obszarze pewien typ efektywnej i dobrze funkcjonującej integracji politycznej. Do roku 1956 sowiecka Partia bezspornie i bez oporów kontrolowała partię, a więc i rządy państw satelickich. Stąd w Komekonie przed r. 1956 Sowiety miały monopol na kierowanie jego funkcjami. Dopiero stopniowe osłabianie więzów tej integracji politycznej na miarodajnej płaszczyźnie partyjnej zmusiło Sowiety do zmiany strukturalnej Komekonu i do jego „demokratyzacji”. Więzy integracji ekonomicznej w Komekonie miały zastąpić słabnące więzy integracji partyjnopolitycznej. Proces więc zcalenia ekonomicznego wewnątrz Komekonu przebiegać musiał zupełnie inaczej niż w E.W.G.

W uproszczeniu można powiedzieć, że ostatnie 10-lecie nie stanowiło sukcesu dla Komekonu. Kluczową sprawą, od której zależały wszystkie inne był system handlu zagranicznego między państwami należącymi do Komekonu, narzucony przez Sowiety. System ten polegał na bilateralnych umowach handlowych, tajnych opartych na również zatajonych cenach. Brak jakiegokolwiek kontroli publicznej pozwalał zapomocą mniej lub więcej arbitralnego wartościowania towarów, na zapewnieniu olbrzymich korzyści stronie silniejszej przy zawieraniu umowy. Przykładem tu może być znana historia z eksportem polskiego węgla do Sowietów po cenie 1 dolara za tonnę, przed październikiem 1956 r. Ten system był głównym instrumentem wyzysku kolonialnego na rzecz Sowietów. A pozatem miernikiem wartości był rubel niewymienny poza obszarem Komekonu i trudny do wymiany na waluty państw satelickich.

W początku lat 60-tych Chruszczow zapowiedział gruntowną zmianę tych form handlu zagranicznego (w ramach Komekonu można mówić raczej o handlu wewnętrznym). Rada Komekonu zasiadająca w nowym wspólnym własnym gmachu w Moskwie postanowiła wprowadzenie systemu multilateralnego w umowach handlowych, ułatwiającego clearing, ceny w umowach miały być jawne, wprowadzone być miały postanowienia dotyczące wymienności i kursów walut satelickich, ich stosunku do rubla i stosunku wzajemnego. Powstał nowy bank Komekonu w Moskwie, nazwany początkowo bankiem państw socjalistycznych, który miał finansować wzajemne operacje handlu zagranicznego, przeprowadzać clearing i pośredniczyć w wymienności walut Komekonu na waluty wymienne, jak dolar i funt.

Niewiele jednak z tych zamiarów zdołano zrealizować. W praktyce do dzisiaj stosuje się system umów bilateralnych, ceny w tych umowach są ujawnianie tylko sporadycznie, wymiana należności rublowych na dolary jest ograniczona do 10-20% — co powoduje olbrzymią zależność państw satelickich od handlu z Sowietami i ograniczenie ich obrotów z Zachodem, prowadzące do zacofania technicznego w przemyśle. Z wielkim trzaskiem otwarty Bank Komekonu niema co robić w praktyce, funkcje jego bowiem dublują funkcje banków narodowych. Oprócz tej głównej przeszkody w rozwoju funkcji integracyjnych Komekonu (dalsze możliwości wyzysku przez Sowiety) szczególnie dotkliwą klęskę poniosły Sowiety, jako inicjator wspólnego planowania dla całego obszaru Komekonu. Sporządzony i uchwalony w r. 1962 plan wzbudził tak wielkie sprzeciw w coraz swobodniej czujących się reżymach satelickich, że w jako całość — pozostał dotychczas na papierze. Jednym z wyrazów tego sprzeciwu było demonstracyjne rozluźnianie więzów z Komekonem przez Rumunię — ze znanymi skutkami politycznymi dla pozycji przywódczej Sowietów wewnątrz ich imperium. Jest oczywiste że wszelkie inne nurty integracyjne, jak specjalizacja, kooperacja i.t.d. w przemyśle mogą się pozytywnie rozwijać, tylko w warunkach zapewnionych korzyści ekonomicznych. System bilateralnych umów i tajnych cen w obrotach wzajemnych Komekonu — nie daje żadnych gwarancji, że takie korzyści przez poszczególnych partnerów satelickich będą osiągnięte. Stąd zalecenia centrali Komekonu do kooperacji i koordynacji wspólnego planowania i.t.d. nie znajdują wielkiego oddźwięku. Brak tu czynnika zachęty, którym dla każdego producenta — w tym wypadku państwa — jest pewna i obliczalna korzyść ekonomiczna.

Dzisiejszy obraz Komekonu nie odzwierciedla nawet w części sukcesu na miarę E.W.G. Komekon jest raczej nieudany i opornie funkcjonującym mechanizmem kontroli gospodarczej Sowietów nad satelitami.

Pocieżą jest, że kontrola ta raczej słabnie, niż się wzmacnia i że zachodzący w całym bloku proces reformy zarządu przemysłem, według recepty prof. Liebermana — słabość tej kontroli jeszcze bardziej pogłębia. Na tym tle tendencje odśrodkowe członków satelickich Komekonu — analogiczne do rumuńskich, mogą się okazać bardzo silne.

Komekon nie spełnił również swojej roli politycznej, jako zintegrowany ekonomicznie obszar, mający stanowić przeciwstawienie do E.W.G. Jest paradoksem, że przeciwieństwa interesów państw rządzonych przez komunistów okazały się bardziej zabójcze dla planów integracyjnych niż przeciwieństwa między państwami w świecie kapitalistycznym. Komekon jest tworem istniejącym po większej części na papierze. I na dalszą metę tylko stosunki z E.W.G. i na warunkach E.W.G. mogą tchnąć życie w ten poroniony płód doktryny komunistycznej.

„NELLO SPIRITO DES CONCILIO”

Wymiana listów między biskupami polskimi a episkopatem niemieckim jest stale aktualna. Teksty listów zostały już przetłumaczone na wiele języków. Może aby się stało zadość przysłówiu, że szewc bez butów chodzi najdłużej trzeba było czekać na tłumaczenie włoskie. Wyszło ono ostatnio w Rzymie jako 16-to stronicowa broszura z przedmową Witolda ZAHORSKIEGO, Prezesa Związku Polskich Federalistów we Włoszech. Z przyjemnością sygnalizujemy ukazanie się tego tekstu, którego wartość jest stale wielka.

ODCZYT REDAKTORA „POLSKI W EUROPIE” W WIEDNIU

Po serii odczytów wygłoszonych w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie w styczniu i lutym br. (Nowy Jork (2), Chicago, Detroit, Montréal i Toronto) na temat problemów polskich na tle zjednoczenia Europy, redaktor „Polski w Europie” został zaproszony do Wiednia.

Dnia 17 czerwca br. w lokalu klubu „Stowarzyszenia Polskiej kultury” odbył się odczyt red. Jerzego Jankowskiego na temat „EUROPA SĄSIADÓW”. Po odczycie odbył się wspólny obiad w Klubie, a następnie długa i ożywiona dyskusja, w której wzięła udział większość obecnych, wśród których znalazło się szereg osób niedawno przybyłych z Kraju.

Odczytowi przewodniczył Andrzej J. Chilecki, jeden z kierowników Klubu i dziennikarz polski w Wiedniu. Odczyt zapowiedział najpoważniejszy dziennik wiedeński „DIE PRESSE”.

Draga do opinii światowej czy też łyż we własną kamizelkę ?

Na każdym szanującym się zjeździe polskim uchwalane są sakramentalnie dwie rezolucje: 1. — „Polacy poza Krajem muszą mieć własną prasę” i 2. — „Polacy poza Krajem muszą mieć własną prasę” — Nie wiadomo nam, żeby jakikolwiek zjazd uchwalili rezolucje Nr. 3, brzmiąca np. „Polacy poza Krajem muszą mieć własnych dziennikarzy z prawdziwego zdarzenia”.

Na innym miejscu piszemy — po raz nie wiadomo już który — o pewnych aspektach sprawy szkolnictwa polskiego — a może skromniej: nauczania polskiego — które nie zależą od uchwał zjazdów polskich, ale od akcji Polaków na środowisko obce.

Skoro już jesteśmy przy tym temacie: „Jak działać na środowisko obce?”, to może tą drogą dojdziemy do zagadnienia, które nas interesuje.

Polaska prasa poza Krajem, reprezentuje dziś na całym świecie około 150 pism wielkich i małych, mających — bez względu na kraj w którym wychodzą, na dawność ich egzystencji i na tematy, które poruszają — dwie wspólne cechy: brak pieniędzy na dziś i obawę przed jutrem. Brak pieniędzy jest tylko częściowo wynikiem złej gospodarki administracyjnej lub złej koncepcji redakcyjnej danego pisma. Oczywiście, radio, telewizja i szybki informujące dzienniki obcojęzyczne kraju w którym pismo wychodzi są wielką konkurencją dla każdej polskiej placówki prasowej. Ale jeszcze większą zmartwienie — zwłaszcza w Europie — jest przeświadczenie rodaków (potencjalnych czytelników), że bez ich pieniężnego udziału pismo będzie jakoś wychodziło, bo przecież... musi wychodzić! A czyż to patriotyczny zjazd nie uchwalili, że: „Nr. 2 — Polacy poza Krajem muszą mieć własną prasę”!

Pozostawałaby prasie polskiej — poza kontynuowaniem kroniki życia organizacyjnego, sprawozdań z akademii itp. — jedna droga: specjalizacja! Gdyby pisma polskie wyrobiły sobie opinię, że w sprawach Polski, Europy środkowej, komunizmu itd. w nich właśnie można znaleźć nigdzie nie drukowaną informację i przekonywujący komentarz — nie minęłyby wiele czasu, a instytucje danego kraju i poważniejsze pisma wydawane przez swoich „polonistów” (a jest ich więcej niż się powszechnie przypuszcza) do czytania danego pisma, tłumaczenia co ciekawszych artykułów, cytowania ich, a kto wie — nawet przedrukowania. Stało się to udziałem kilku pism rosyjskiej „białej” emigracji. No i kilku pism polskich, mimo wszystko!

Ala na to, aby informacje ukazujące się w polskich pismach były aż tak ciekawe, żeby zainteresowały instytucje rządowe i specjalistów miejscowej prasy, nie wystarczy spędzić wieczór w paryskiej kawiarni „Ravaillac”, albo w miejscach spotkań „trzeciej emigracji” polskiej w innych miastach. Na to trzeba czegoś więcej: nie jednej rozmowy, nie dziesięciu rozmów, czasem nawet nie stu rozmów, ale stałego śledzenia polskiej rzeczywistości, zbierania wiadomości z różnych źródeł, porównywania ich między sobą, badania ich wiarygodności, słowem — całodniowej pracy zawodowego dziennikarza! Jeśli chodzi o komentarz, sprawa jest jeszcze trudniejsza: trzeba mieć czas nie tylko na zebranie informacji, ale także na przemyślenie i — o ile to możliwe — przedyskutowanie własnych tez. To także jest praca dla dziennikarza, który poza własnym zawodem nie ma żadnych innych obowiązków.

A teraz pytanie: Ilu takich dziennikarzy prasa polska w wolnym świecie (z prasą Polonii Amerykańskiej włącznie) potrafi utrzymać? Dziennikarstwa w tym stylu nie robi się na tych samych zasadach co niektóre szkoły polskie, w których „profesor”, najczęściej amator, dostaje łożko, żupę i trochę pieniędzy na papierosy, na autobus i na skarpetki. Dziennikarz musi się ruszać wśród ludzi, którzy są dobrze ubrani, jadają obiady codzień, a nawet czasem piją kieliszek whisky! Są to szczyty nie do osiągnięcia w dzisiejszym stanie naszej prasy, robionej przeważnie przez t. zw. ludzi dobrej woli, jakże często na marginesie ich zajęć zarobkowych, nie wspólnego z prasą nie mających. Takim ludziom należą się wszystkie medale zasługi i po dzień ze strony zawodowych dziennikarzy. Ale to nie oni dokonają operacji, której — często bezwiednie — masy polskie od nich oczekują: informowania opinii publicznej kraju zamieszkania o sprawach polskich (przypominając sobie sprawę książek żydowskich po francusku o Polsce: „Treblinka”, „Exodus”, „Malowany ptak” itd., o których się tak wiele pisało w prasie... polskiej), nie mówiąc już o wpływanie na tę opinię i na jej postawę w naszych sprawach. Nie można żądać rzeczy niemożliwych!

Ala jak wyjść z sytuacji? Na dłuższy dystans nie będzie prasy polskiej, nawet takiej jaka obecnie istnieje, bez dziennikarzy. Przedwójny „zapas” z każdym rokiem wyczerpuje się. Są takie fenomeny jak nestor dziennikarstwa Polonii Amerykańskiej, Ignacy Morawski, który pół wieku wytrzymał na posterunku, nie będąc bynajmniej właścicielem pisma, które prowadził. Ale takich jest mało i coraz mniej. Ci z młodego pokolenia, którzy kierują się do dziennikarstwa szu-

każą zatrudnienia w prasie kraju zamieszkania, gdzie po kilku miesiącach dostają kartę dziennikarską, którą im daje status prawny, legitymację syndykatu, który ich będzie bronił i zapis na emeryturę kadr, która im zapewni spokojną starość. Ale w tej grupie mało jest dziennikarzy politycznych, przynajmniej narazie.

Wydaje się, że i dla starszych dziennikarzy jest to dziś jedyna droga, godząca ich sytuację materialną z ich misją narodową, o ile oczywiście do takiej misji się poczują: pisać w prasie obcej! Trzeba pisać w prasie zagranicznej, nie tylko dlatego, że w ten sposób polscy dziennikarze mogą się utrzymać z pracy w swoim zawodzie. Trzeba to robić także dlatego, że tylko tą drogą można myśleć o wypełnieniu zadań, którymi patriotyczne polskie zjazdy tak szczodrze dziennikarzy obdarzają: informowanie opinii publicznej, prostowanie nieścisłości, kłamstw i oszczerstw, nakłanianie opinii publicznej do tego jakiegoś. Tego wszystkiego nie da się zrobić z zewnątrz! Ilekż naszych pięknych rezolucji, nawet przetłumaczonych na francuski czy angielski, wydrukowały czołowe dzienniki danych krajów, nawet wtedy kiedy były opatrzone szanowanymi przez nas podpisami? A teraz przypatrzmy się ile prasa pisze o Izraelu, kiedy do roboty się wzięli dziennikarze żydowscy, siedzący w prasie międzynarodowej. Piszą „żydowscy”, a nie „izraelscy”, gdyż dziennikarze ci pracują w prasie całego świata i posiadają najrozsądniejsze paszporty. Ale działają „od wewnątrz”, z sal redakcyjnych pism z którymi (albo w których) codziennie pracują, a nie z lokalnych zjazdów czy organizacji.

Powinniśmy chyba zrobić wszystko, aby jak najwięcej dziennikarzy polskich, albo — szerzej biorąc — ludzi pióra pisało w prasie obcej. Ci którzy nie mogą uzyskać statusu stałych współpracowników (członków redakcji czy korespondentów) powinni przynajmniej ogłaszać w dziennikach i czasopiśmie wolnego świata swoje artykuły. Co to znaczy: „powinniśmy zrobić wszystko, aby...”? Znaczy to, że ludzie, którzy w prasie obcej mają znajomości i powiązania powinni pytać czy i jak są obsadzone rubryki Europy Wschodniej w danych pismach i wskazywać dziennikarzy, którzy mogliby z tymi redakcjami nawiązać współpracę; znaczy to także, iż nazwiska tego typu dziennikarzy (władających oczywiście obcymi językami) powinny być dostępne (wraz z adresem i krótkim życiorysem zawodowym); znaczy to, że organizacje polskie powinny zainteresować się Polakami w szkołach dziennikarskich różnych krajów i otoczyć opieką młody narybek dziennikarzy, pomagając mu w zdobyciu specjalizacji jeżeli nie polskiej (jest ona zbyt wąska) to wschodnioeuropejskiej; itd., itd.

Mamy stosunkowo wiele nagród literackich poza Krajem. Nawet drobne fundacje starają się nagrodzić wiersz patriotyczny, czy jeszcze jedną powieść o tym jak Polaków katowano. Nie słychać natomiast, żeby komu przyszło na myśl nagrodzić artykuł o Polsce, opublikowany przez pismo zagraniczne mające jakiś ciężar gatunkowy. A przecież, aby przekonać o słuszności polskiego stanowiska w tej czy innej sprawie trzeba pisać w prasie jaka jest czytana przez tych, których właśnie chcemy przekonać. Skarżenie się na Francuzów, Anglików, Amerykanów czy Niemców w gazetach wydawanych po polsku nie ma większego sensu. Trzeba pisać w ich pismach, i na to niema rady!

Jeżeli teza ta jest słuszna, a wydaje się nam że tak, to odnosi się ona do prasy wszystkich krajów, nawet tych w których Polacy masowo nie mieszkają. Powinna ona mieć zastosowanie zwłaszcza w stosunku do prasy tych państw, które mogą wpłynąć na losy Polski i Polaków, a w szczególności do prasy naszych sąsiadów, z którymi mamy spory.

Trudno oczywiście proponować polskim dziennikarzom, żyjącym w wolnym świecie, aby pisali artykuły do „Prawdy” czy „Izwestii”, do „Rudego Prawa” czy „Neues Deutschland”. Prasa krajów komunistycznych jest organem państwa, a dziennikarz urzędnikiem państwowym. Podobnie rzecz się ma w Polsce „ludowej”. Dziennikarz polski na Zachodzie, o ile złamał kręgosłup, może zawsze pisać do gadzinówek, które mu „władza ludowa” organizuje na miejscu (i na użytek wyłączenie miejscowy) w Paryżu, Londynie, Scranton czy Detroit.

Pozostaje prasa Niemieckiej Republiki Federalnej. Z tym krajem mamy najwięcej sporów, bo to są „zli Niemcy” (stawiający na Zachód) w odróżnieniu od „dobrych Niemców” Ulbrichta (stawiających na Sowiety!). Spory nasze z Niemcami zachodnimi są realne, nawet gdy zostaną oczyszczone z nalotu, którym pokryła je propaganda reżymowa. Dodajmy, że spory te musimy usiłować zatłumaczyć, mimo iż reżymowi zależy na tym, aby one nie zostały zatłumione. W przeciwieństwie do „dobrych” Niemiec Ulbrichta, w Niemczech zachodnich można działać na społeczeństwo, nie pytając o pozwolenie rządu. Tam bowiem istnieje prasa nie tylko od rządu niezależna, ale i w swojej większości odważna, czemu nie przeczą nawet dziennikarze z Pol-

ski „ludowej”. W tej właśnie prasie, która potrafi ostro krytykować rząd w Bonn, w radiu i telewizji które stać na nadawanie oważnych tekstów i audycji (wyjątki z jednej z nich zamieściliśmy w poprzednim numerze „P. w E.”) — możemy znaleźć platformę do powiedzenia narodowi niemieckiemu tego co nam leży na sercu. Nie chodzi oczywiście o gazety typu „Soldaten Zeitung”, „Der Schlesier”, „Volksbote” i im podobne pisemka, które niczego się nie nauczyły i niczego nie zapomniały. Chodzi o normalną prasę niemiecką, którą czytają miliony zwyczajnych Niemców, a nie tylko zwolennicy mocnych nazistowskich wreszeń.

Pytanie: „Czy pisać do prasy niemieckiej?” — brzmi dość zabawnie. Zupełnie tak jakby sobie Papież postawił pytanie: „Czy wysłać misjonarzy do Konga?”. Jeżeli stwierdzamy, że w Niemczech zachodnich, z naszego punktu widzenia, dzieje się źle (np. 4 czerwca br. znów wybrano 10 nazistów z N.P.D. do Landtagu w Hannoverze!), to jest chyba logiczne, że będziemy się starać — w granicach naszych możliwości — przeciwstawiać się złu; że będziemy się starali pomóc tym Niemcom, którzy mając świadomość tego zła, chcą je zwalczać. Papież, stwierdzając, że w Kongu jest dużo pogan nie wygłasza kazań na granicy tego kraju, ale wysyła misjonarzy z zadaniem, aby spenetrowali Konga do głębi. To też, właśnie dlatego, że mamy z Niemcami wiele ważnych punktów spornych, musimy znaleźć sposoby kontaktu z niemiecką opinią publiczną. Takim sposobem jest oczywiście prasa i inne środki masowych kontaktów (t. zw. „mass media”). Jak misjonarz musi być księdzem o największych zdolnościach przekonywania i najmocniejszym charakterze, tak i rzecznicy stanowiska polskiego wobec niemieckiej opinii publicznej powinni rekrutować się z naszych najlepszych dziennikarzy, posiadających, oprócz zdolności, także i charakter. Ludzi ci w swojej działalności powinni mieć moc liczyć na poparcie polskiej opinii publicznej. Wyniki ich pracy ocenić będzie można, czytając to co udało im się wydrukować; ich teksty — i tylko ich teksty, zamieszczone w prasie niemieckiej — mogą być kryterium oceny ich pracy.

Tyle co do teorii! W praktyce, nie wystarczy chcieć pisać w prasie obcej, bez względu na to czy to będzie niemiecka, francuska czy duńska. Trzeba jeszcze mieć coś oryginalnego do powiedzenia i potrafić to przedstawić w sposób dla danej publiczności zrozumiały. Ale o to dziennikarze polscy — wśród których zdolnych ludzi nie brak — będą się starać, o ile będą świadomi iż ich rodacy wreszcie zrozumieją, że sprawy polskiej przez wielkie „S” nie broni się w granicach ghetta, ale wobec opinii publicznej świata, a zwłaszcza w krajach z którymi mamy spory i zatargi.

Tak długo jak nasza opinia tego nie zrozumie, będziemy — jako wyraz naszych żalów czy naszych idei — mieli do dyspozycji kilka dziesiątków zastawionych, ale nie czytanych przez obcych — pisemek i co dwa miesiące jeden artykuł ks. Kłosa z Buffalo, że przestała istnieć jeszcze jedna polska gazeta. Przed 10 milionami Polaków w wolnym świecie staje problem wyboru i nikt ich nie zwolni od jego dokonania. Nawet uchwały Związku Dziennikarzy, karcące ich kolegów, którzy nie zapomnieli o nadanym peunemu wielkiemu Polakowi medalu z napisem „Sapere auso!”

„BERICHT EINES FEIGLINGS”

Audycja pod tytułem „Raport tchórze”, jaką nadała telewizja niemiecka (Monachium) wzburzyła koła ukraińskie. Nawiązując do faktów autentycznych, a mianowicie do zamordowania nacjonalisty ukraińskiego Stepana Bandery przez nasłanego agenta sowieckiego dosyć zakomspirowany autor niemiecki występujący pod nazwiskiem Paul Bass napisał co w rodzaju filmu szpiegowskiego, obrażającego emigrację ukraińską. Sprawie tej poświęca dłuższy artykuł Théodore NOVAK w majowym numerze wychodzącego w Paryżu po francusku „L'Est Européen”. Opisuje on wysiłki Ukraińców, aby nie dopuścić do wyświetlenia filmu ilustrującego zasadnicze tezy propagandy sowieckiej, starającej się zohydzić żyjących w wolnym świecie Ukraińców. Autor cytuje szereg wypowiedzi prasy ukraińskiej na temat tej audycji. Między innymi „Szlach Peremohy” w Monachium pisze: „Chcielibyśmy zwrócić uwagę nie tyle na sam film... ile na kompleks nienawiści w stosunku do nas, który kultywują pewne koła niemieckie zwane liberalnymi, których psychika jest w rzeczywistości przepełniona ideami nazistowskimi...”

Za materiał Europejskiej Federacji Polskich
Kombatantów
odpowiada red. T. NORWID-NOWACKI
za artykuły podpisane — Autorzy,
a za niepodpisane — Redakcja.

ODWOŁANA WIZYTA

Paryski „LE MONDE” ogłosił 27 maja br. oficjalny program wizyty gen. de Gaulle w Polsce. W tym samym piśmie z 6 czerwca znajdujemy komunikat tej treści:

P. Burin des Rozières, sekretarz generalny urzędu Prezydenta Republiki przyjął w poniedziałek w późnych godzinach porannych, p. Stanisławskiego, chargé d'affaires Polski w Paryżu. Rozważana była ewentualność przesunięcia na późniejszy termin podróży, którą gen. de Gaulle miał odbyć po Polsce, poczynając od środy.”

Słowo „ewentualność” w tym wypadku zdradza zmysł humoru dyplomatów, dla których napisanie po prostu: „gen. de Gaulle postanowił odłożyć podróż do Polski ze względu na sytuację na Bliskim Wschodzie” wydaje się zupełnie niemożliwe.

A więc gen. de Gaulle uda się do Polski „kiedy to tylko stanie się możliwe”? A kiedy się to naprawdę stanie, trudno przewidzieć. Tym bardziej, że kalendarz gen. de Gaulle jest na najbliższe miesiące przeładowany. Bardziej niż Podgórno, który nie znalazł czasu na wizytę we Francji, dokąd był zaproszony.

Wydaje się, że po decyzji gen. de Gaulle kierownictwo Partii w Warszawie odetchnęło z uczuciem wielkiej ulgi. Decyzja ta zdejmuje z niego ciężar odpowiedzialności za ułożenie programu pobytu gen. de Gaulle w ten sposób, że nie przewiduje on najistotniejszego punktu: wizyty na Ziemiach Zachodnich! Jeżeli dla Polski i Polaków (a nie tylko dla R.P.L. i dla Partii!) podróż gen. de Gaulle miała jakiś sens polityczny, to musiał się on wyrazić w geście potwierdzającym powtarzaną do znudzenia od 8 lat wypowiedź na konferencji prasowej, przedstawiana jako uznanie granicy na Odrze i Nysie. Właśnie nad Odrą i Nysą chcieliśmy widzieć gen. de Gaulle. Obojętnie gdzie: na Górze św. Anny, we Wrocławiu, w Ślubicach, w Gorzowie czy w Szczecinie! Albo na terenie dawnych Prus Wschodnich: w Kwidzynie, Olsztynie, Szczytnie czy w Elku. Tymczasem program przewidział jedynie wizytę w Gdańsku, a ściślej — o ile nasze informacje są dobre — na Westerplatte. Wszyscy wiedzą, chyba nawet Gomułka, że wizyta w Gdańsku nie ma tego samego znaczenia politycznego co wizyta w Szczecinie czy Szczytnie. Przed wojną, Gdańsk był Wolnym Miastem i do III-ej Rzeczy w dniu 1 września 1939 r. nie należał. Zastąpienie wizyty w Szczecinie wizytą w Gdańsku jest wybiegiem protokołu dyplomatycznego. Chodzi o to, aby nie drażnić Niemców, a jednocześnie dać Polakom okazję do wiwatowania na cześć tego, który uznał granicę na Odrze i Nysie.

Tak więc Gomułka i warszawskie politbiuro, którzy codziennie nas zachęcają do „twardego nieustępliwego stanowiska w sprawie granicy”, którzy nie omijają żadnej okazji, aby ganić opieszałych i dawać wskazówki nieświadomym — oni to właśnie godzą się na podróż gen. de Gaulle... bez wizyty na Ziemiach odzyskanych! Nie wiadomo czy w tym wypadku trzeba więcej podziwiać reżymową dyplomację czy też „twardość” przekonań tych obrońców patentowanych Odry i Nysy. O ile nam wiadomo, kiedy zapadała decyzja co do samej wizyty — to znaczy przed ustaleniem jej daty i programu — nikt nie postawił pytania gen. de Gaulle czy w czasie pobytu w Polsce pojedzie na Ziemię Zachodnią. Potem, kiedy rozmowy zeszyły na szczebel wykonawców było już za późno i nie można było się powołać na decyzję Generała. Bravo, reżymowa dyplomacja! Tak to wyglądają skutki praktyczne działalności placówek zagranicznych w których sekretarz P.O.P. (Podstawowa Organizacja Partyjna) ma większe znaczenie niż ambasador.

Z programu podróży nie wynikało także, że gen. de Gaulle miał się spotkać z kardynałem Wyszyńskim. Jedyną niedzielę miał spędzić gen. de Gaulle w Gdańsku i Gdyni. Czy byłby na mszy w katedrze gdańskiej, prasa francuska o tym nie pisze. W każdym razie wiadomo jest, że nie była przewidziana w programie msza w którejś z katedr prymasowskich, w Warszawie lub w Gnieźnie. Rzecz jasna, przy odrobinie wysiłku i dobrej woli można znaleźć okazję spotkania Prymasa z gen. de Gaulle, bez nadawania temu zdarzeniu znaczenia manifestacji antyreżymowej. Ale na ten temat było już głucho.

Pisząc o projekcie podróży gen. de Gaulle do Polski w poprzednim numerze „P. w E.” stwierdziliśmy, że te dwie sprawy są w tej podróży ważne dla Polaków: Ziemię Zachodnią i gest w stosunku do Kościoła, rzecznika Narodu Czy gen. de Gaulle wymieni czy nie wymieni z Gomułką poglądy na temat wojny w Vietnamie, czy odbędzie z Ochabem konferencję na temat imperializmu amerykańskiego, czy wysłucha świątliwych uwag Cyrankiewicz na temat pomocy dla Indii, dla Polaków — w Kraju, we Francji i w reszcie świata — nie ma to większego znaczenia. Czy przy okazji pobytu Generała w Polsce podpisany zostanie jeszcze jeden układ kulturalny (który nie zostanie ogłoszony), czy znowu komunikat wspomni o „znacnym wzroście obrotów handlowych” — wszystko to należy do rzędu akcesoriów, do których się sięga, kiedy się partnerowi nie ma nic istotnego do powiedzenia.

Odroczenie podróży gen. de Gaulle uratowało Gomułkę i jego Partię od kompromitacji, a Naród polski od rozczarowań. Dlatego też nie jest chyba przesadą kiedy przypuszczamy, że Partia odetchnęła dowiedziawszy się o decyzji gen. de Gaulle.

„Krajowa Agencja Informacyjna” z 31 maja - 6 czerwca br. cytuje głosy „Trybuny Ludu” i „Życia Warszawy” o zbliżającej się podróży gen. de Gaulle do Polski. Charakterystyczne jest, że jego wystąpienie na konferencji prasowej 25.III.1959 r. w sprawie zachodnich granic Polski traktowane jest b. dyskretnie. Nie wybija się tego na czołowe miejsce, jak to było dotychczas, kiedy się przy tej czy innej okazji pisało o gen. de Gaulle w prasie krajowej. Czyżby dlatego, żeby program zamierzonej wizyty nie rzucał się za bardzo w oczy Polakom w Kraju? Zagranicą chodziły nawet przypuszczenia, że reżym „przetargował” nie-widzenie Prymasa w zamian za nie-pojechanie na Ziemię Zachodnią. Nie wiemy ile jest prawdy w tych pogłoskach, ale niektóre okoliczności wydają się wskazywać na ich prawdopodobieństwo.

Kiedy sprawa wizyty gen. de Gaulle stanie się znów aktualna, będą się musiały odbyć nowe rozmowy na temat tego programu. Wówczas obie strony będą miały sposobność do zrewidowania swoich stanowisk. Zanim to jednak nastąpi, urzędowy program wizyty gen. de Gaulle w naszym Kraju przewidzianej na 7-13 czerwca 1967 r. schowany do archiwum. Jest to dokument przekonywujący o tym jak małe kwalifikacje ma reżym warszawski do dawania nam lekcji jak mamy bronić Odry i Nysy. Co do nas, to tych lekcji nie przyjmowaliśmy nigdy: znany jest nam bowiem tekst uchwały konferencji 7 Partii Komunistycznych w ESSEN w styczniu 1933 r. A tego się Gomułka nigdy jeszcze nie wyparł!

„EUROPAISCHE BEGEGNUNG”

Od siedmiu lat wychodzi w Hannoverze miesięcznik noszący tytuł „EUROPAISCHE BEGEGNUNG”, wydawany przez „Gesellschaft zur Förderung der West-östlichen Begegnung in Europa”. — Pismo to zajmuje się problematyką polityczną i kulturalną, omawia książki jakie się ukazały ostatnio. Nie jest to pismo zajmujące się wyłącznie sprawami niemiecko-polskimi, ale jak sama nazwa wskazuje zbliżeniem między narodami europejskimi po jednej i drugiej stronie żelaznej kurtyny. Nie przeszkadza to jednak, że sprawy polskie zajmują najpoważniejsze zdaje się miejsce w tym miesięczniku. Na liście autorów, których teksty zostały zamieszczone w „Europäische Begegnung” w ostatnim roku znajdujemy znane nazwiska zarówno Polaków z Kraju jak i tych, którzy żyją na Zachodzie; nie wszyscy zresztą piszą na tematy polskie.

W Kuratorium pisma zasiada kilku posłów do Bundestagu i kilku profesorów uniwersytetu. Wśród jego redaktorów i współpracowników znajdujemy sporo ludzi przychylnych sprawie polskiej. Jednym z nich jest dr. Armin Th. DROSS, znany tłumacz z literatury polskiej; p. Dross wziął udział w spotkaniu dziennikarzy polskich i niemieckich w Metz.

Adres pisma: EUROPAISCHE BEGEGNUNG”, Königswortherstr. 2, 3000 HANNOVER; cena 3 DM za numer.

KULTURA POLSKA W NIEMCZECH

Wydawany przez „INTER NATIONES” w Bad Godesberg przegląd prasy Niemieckiej Republiki Federalnej „OST-WEST ECHO” notuje wszystko co się ukazało w prasie na temat wydarzeń kulturalnych krajów Europy Wschodniej. W rubrykach „Literatura — Spotkania pisarzy”, „Teatr i widowiska”, „Muzyka, koncerty, folklor”, „Wystawy — grafika”, „Filmy”, „Radio i telewizja”, „Kontakty i spotkania” — przegląd „OST-WEST ECHO” rejestruje wszystkie wydarzenia w wymienionych dziedzinach jakie miały miejsce w okresie sprawozdawczym na terenie N.R.F.

W numerze za marzec-kwiecień 1967 r. znajdujemy — jeśli chodzi o Polskę — siedem wzmianek na temat literatury, teatru, muzyki i wystaw. Dowiadujemy się m. in., że Teatr Miejski w Essen został zaproszony do Warszawy, gdzie będzie grał na początku roku 1968 r.

Dziewięć wzmianek dotyczy radia i telewizji; dowiadujemy się z nich o audycjach na tematy polskie, które nadały różne stacje radiowe i telewizyjne w N.R.F.

W dziale „spotkania” omówiona jest impreza „Begegnung mit Polen” (Spotkanie z Polską), jaka odbyła się w Hamburgu w dniach 14-27 kwietnia br.

Na osobnym miejscu „EST-WEST ECHO” publikuje 14-stronicowy referat Karla DEDECIUSA p.t. „Polska poezja w Niemczech w 1967 r.”, który został wygłoszony na spotkaniu poetów polskich w Paryżu, w dniach 28.II - 3.III.67 r. Tekst ten częściowo pokrywa się z ogłoszonym w Nr. 4/5 — 67 artykułem tegoż autora p.t. „Konwokacja książek”, z tym oczywiście że jest bardziej zaktualizowany.

POLSCY DZIENNIKARZE W N.R.F. DO NARODU IZRAELSKIEGO

Zarząd Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemieckiej Republice Federalnej powziął uchwałę, w której m. in. czytamy:

„W obecnym trudnym położeniu Izraela pragniemy dołączyć się do głosów płynących ze świata z wyrazami sympatii i przyjaźni dla Narodu Izraelskiego.

Należymy sami do narodu, który doświadcza zagrożenia własnego państwa, ongi utraconego, wytestowanego przez pokolenia i odzyskanego krwawym trudem. Nie zapominamy też o polskich Żydach, którzy brali udział w walkach o niepodległość Polski, zdobywając nieraz najwyższe odznaczenia bojowe „Virtuti Militari”. Nie zapominamy też o bojownikach Ghetta Warszawskiego, którzy walczyli o godność swego Narodu w naszej stolicy.

Z odwiecznych związków żydowsko-polskich wypływa nasze zainteresowanie losami i rozwojem nowoczesnego państwa Izraela. Niektórzy z nas — polskich dziennikarzy na obczyźnie — mieli okazję odwiedzić Izrael i przekonać się osobiście o świetnych dokonaniach cywilizacyjnych Narodu Żydowskiego po uzyskaniu niepodległego bytu. Te osiągnięcia mówią nie tylko o patriotyzmie, dzielności i harcie Izraelczyków ale także nasuwają myśl o wyższej sprawiedliwości, bo przecież dzieje się to po latach straszliwej kaźni hitlerowskiej, która zmierzała do zagłady Narodu Żydowskiego.

W momencie zagrożenia zasyłamy wyrazy braterskości uczuć. Oby pomyślne rozwiązanie obecnych trudności przyniosło Waszemu krajowi osiągnięcie trwałego bezpieczeństwa i pokoju”.

(„Dziennik Polski”, nr. 134, 7.VI.1967 r.).

„POLSKA W EUROPIE” wyraża swoją zgodność z powyższą deklaracją Syndykatu Dziennikarzy Polskich w N.R.F. Wydaje się nam, niezależnie od związków z narodem żydowskim a specjalnie z tą jego częścią, która w naszym Kraju zamieszkiwała, iż konieczne jest podkreślenie jeszcze innego oblicza obecnego konfliktu. Oto mianowicie przywódcy arabscy: Nasser, Choukairi i inni w swoich oficjalnych oświadczeniach zwywali do ludobójstwa, do wytracenia całego narodu żydowskiego. Ci duchowi spadkobiercy Hitlera wygłaszają w 20 lat po procesie norymberskim nazistowskie przemówienia, które nie wydają się bardzo wzruszać tych, którzy sądzili niemieckich zbrodniarzy wojennych. Nasser i jego wspólnicy cieszą się poparciem obozu komunistycznego z Rosją Sowiecką na czele, którzy im poprzednio dostarczyli broni. Polska Republika Ludowa ustami swoich przywódców komunistycznych wypowiedziała się za Nasserem i jego nazistowskim programem zniszczenia Izraela. Jest to jeszcze jedno potwierdzenie faktu, że między komunizmem a hitleryzmem niema żadnej nieprzekraczalnej bariery. Potrafią iść razem w 1967 r., tak jak poszli razem w 1939 r.

Wykazał to przykład wojny z Izraelem, która stała się kompromitacją i dla komunistów i dla nazistów. Ale przecież mogła się skończyć tragicznie, gdyby broń sowiecka była lepsza, a meśstwo egipskie większe! Lecz Bliski Wschód niema bynajmniej monopolu na współpracę komunistyczno-nazistowską. To co się wczoraj stało na granicach Izraela, jutro stać się może w innej części świata. To też wydaje się nam, że logicznym wnioskiem z wypadków pierwszych dni czerwca 1967 r. powinno być wezwanie do wspólnego frontu walki z nazizmem i z komunizmem jednocześnie. W tej walce wszystkie narody, a w szczególności Polacy, Żydzi i Niemcy, powinny znaleźć wspólny język. Kiedy się zrezygnuje z permanentnej walki z podpalaczami świata, wszystkie inne rozwiązania będą tylko zamykaniem oczu na rzeczywistość: na stałe współdziałanie światowego komunizmu z tymi, którzy jawnie ogłaszają się za spadkobierców Hitlera. Trzy najbardziej zagrożone tym współdziałaniem narody powinny się nad tym zastanowić.

STARY PROBLEM — NOWE METODY

Zgłaszają się do nas rodzice młodzieży, kończącej szkołę średnią i liceum czy „collège” francuskie. Pragnąc otrzymać maturę czyli „baccalauréat” chcą „wybrać”, jak to czynili ich starsi bracia i siostry, język polski jako język obcy pierwszy czy drugi, według programu. Nic z tego!... Jesteś już więcej niż pięć lat we Francji — nie masz prawa. Jeśli chcesz, możesz wybrać portugalski, arabski, hiszpański, włoski, a przede wszystkim rosyjski. Wybieraj rosyjski — to także język słowiański!

A właśnie! Język polski należy do grupy języków słowiańskich tak samo jak język francuski, włoski, hiszpański czy portugalski należą do grupy języków romańskich. Nikomu jednak nie przyjdzie do głowy powiedzieć: chcesz poznać język włoski, więc ucź się po hiszpańsku!

Młodzież nasza, której rodzice służą i służyli wiernie Francji w złej i dobrej doli, ma chyba prawo domagać się, aby pozwolono jej wybierać na maturę język ojców i matek — na równi z tyłu innymi językami, na których wybór pozwalają obecne przepisy.

W imię najprostszej sprawiedliwości domagamy się uwzględnienia tych żądań.

Kultura młodego pokolenia Francuzów na pewno na tym nie straci, że w jego szeregach znajduje się garść znających język Kochanowskiego, współczesnego Ronsardowi, Mickiewiczowi, Curie-Skłodowskiej, Poniatowskiemu, Sienkiewiczowi, i tych mnogich zastępów żołnierzy czy obywateli, zarówno pracowników, jak wiernych bojowników sprawy francuskiej.

Dlatego też jednym z naczelnych zadań wszystkich organizacji polskich jest dopilnowanie, by w tych szkołach średnich, w których naucza się języka polskiego — jak np. w Béthune, czy w Bruay-en-Artois — było jak najwięcej uczniów. Natomiast tam, gdzie dotąd języka polskiego nie ma a gdzie jest wystarczająca liczba chętnych — jak np. w Douai — by nasz język wprowadzono. Nie należy się zrażać tym, że dyrekcja szkoły odpowie, iż z powodu braku profesora lekcji języka polskiego uruchomić nie może. Lektoraty polskie przy uniwersytetach francuskich wychowały dostateczną liczbę kandydatów przygotowanych do nauczania języka polskiego.

Przedrukujemy powyżej w całości artykuł „Język polski przy egzaminach”, jaki ukazał się w paryskim „Głosie katolickim”.

Problem jest jednak szerszy i dotyczy wszystkich Polaków mieszkających poza granicami Kraju. Pisałszy na ten temat na łamach naszego pisma nieraz i często do niego jeszcze będziemy wracać. Sprawa języka jest bowiem podstawowa, zasadnicza dla każdej społeczności żyjącej poza własną Ojczyzną i zdecydowanej na zachowanie swojej osobowości. Federalizm od dawna głosi respekt nie tylko dla jednostki, ale i dla grupy w jakiej ta jednostka żyje. A wśród różnych ugrupowań (religijnych, zawodowych, politycznych, lokalnych itd.) wspólnota narodowa, oparta na wspólności języka — wydaje się najważniejsza. O autonomii i szacunku dla grup — które są „pośrednikami” między jednostką a państwem — mówiła encyklika Jana XXIII-go „Mater et Magistra”, o czym w swoim czasie na tym miejscu pisaliśmy.

Ale jak zachować język w warunkach, w jakich żyją Polacy poza Krajem? Wiadomo, że sam dom rodzinny, gdzie dziecko musi uzyskać nie tyle umiejętność ile przede wszystkim szacunek dla własnego języka, nie wystarczy, a przynajmniej nie zawsze wystarczy. Potrzebna jest więc szkoła. To co się dumnie nazywa „szkołą polską” są to coraz częściej skromne kursy języka, nierzadko prowadzone przez amatorów, którym patriotyzm nie zawsze potrafi zastąpić wykształcenie zawodowe.

Dlatego też — równolegle z pilnowaniem, żeby dzieci i młodzież mówili po polsku w domu, w organizacjach i instytucjach polskich — trzeba się starać o wprowadzenie naszego języka jako przedmiotu nauczania do szkół w krajach w których mieszkamy. Nie zapominajmy, że chodzi tu nie tylko o okazję do nauczania się języka, ale i o jego „standing”, co dla młodzieży urodzonej poza Polską ma duże znaczenie.

Problem nauczania języka polskiego w szkołach powszechnych i średnich jest najczęściej źle postawiony tak przez czynniki polskie w danym kraju (organizacje, instytucje kulturalne itd.), jak i przez władze rządowe.

Poza Ameryką, organizacje i instytucje polskie uparły się bronić naszych praw do języka polskiego w szkołach z pozycji uchodźców. Operujemy stale argumentami, których władze miejscowe nie rozumieją, bo dzieci z paszportami uchodźczymi, a nawet z paszportami P.R.L. nie stanowią już chyba 5% całości pokolenia objętego nauczaniem w szkołach powszechnych

i średnich. Doprowadza to do takich zarządzeń, jak to miało miejsce przed około 10 laty w departamencie Haut-Rhin we Francji, że Inspektor Akademii kazał usunąć z kursów języka polskiego wszystkie dzieci nie posiadające paszportów uchodźczych. Naszą niemądrą postawą zmuszamy władze krajowe do wyciągnięcia wniosku, że uzyskanie paszportu kraju zamieszkania jest zerwaniem z polskością. Otóż, zgadzając się z radami, które daje Redakcja „Głosu Katolickiego” swoim czytelnikom — musimy stwierdzić, że są one niezbyt jasne, a w każdym razie niezupełne. Nie wystarczy bowiem powiedzieć czytelnikom „Nie należy się zrażać tym że dyrekcja szkoły odpowie...” (patrz wyżej!), ale trzeba stwierdzić: Większość z Was jest obywatelami i wyborcami francuskimi. Nauczcie się bronić Waszych praw, zastrzeżonych przez Konstytucję francuską i płynące z niej ustawodawstwo (patrz „P. w E.” Nr. 11-12/66 r.). Jeżeli spotykacie się z odmową wprowadzenia języka polskiego do szkoły średniej lub stworzenia kursu języka na poziomie szkoły powszechnej — odwołajcie się do deputowanego Waszego okręgu wyborczego i zażądajcie od niego interwencji u właściwych władz. Pamiętajcie, aby przy nadchodzących wyborach kantonalnych we Francji (jesień 1967 r.) poruszyć tę sprawę — już dziś, przed nowym rokiem szkolnym! — z kandydatami na conseillers généraux. To jest dziś zadanie dla organizacji polskich, zwłaszcza zajmujących się szkolnictwem, to jest rola dla działaczy z prawdziwego zdarzenia, a nie chowanie się za „uchodźców”, których wśród dzieci i młodzieży praktycznie już niema. Zresztą — przypominamy raz jeszcze — uchodźca może prosić, obywatel może żądać!

Żle postawienie problemu nauczania polskiego przez władze rządowe wielu krajów, a w szczególności przez władze francuskie polega na czym innym. Poszczególne rządy zawierają z reżymem warszawskim różne umowy kulturalne, w których sakramentalnie powtarza się zdanie, że „obie strony dbać będą o rozwój nauczania języków polskiego i francuskiego (włoskiego, angielskiego itp.) w swoich krajach”. Czasem są nawet postanowienia bardziej szczegółowe, dotyczące nauczania języków obu stron w szkołach. Błąd polega na tym, że przy zawieraniu takiego układu strona nie-polska najczęściej myśli, że nauczanie polskiego we Francji, Belgii itd. dotyczy będzie tam mieszkających Polaków, w ogromnej większości już obywateli kraju zamieszkania. Ten pogląd powinniśmy systematycznie i energicznie zwalczać. Obce rządy zawierają z Polską układy o wprowadzeniu do swoich szkół średnich i wyższych języka polskiego dla rozpowszechnienia naszego języka wśród rodowitych Francuzów, Włochów, Anglików czy Holendrów, a nie wśród Polaków obywateli tych krajów. Nauczanie języka polskiego własnych obywateli narodowości polskiej jest zupełnie innym problemem: problemem wewnętrznym, a nie międzynarodowym! Inaczej, byłbyśmy świadkami dosyć komicznej operacji: rządy zachodnie zwracałyby się do rządu P.R.L., żeby im pomógł rozwiązać sprawę o charakterze wewnętrznym, a mówiąc językiem bardziej zrozumiałym: pomógł zorganizować penetrację komunistyczną do własnych obywateli języka polskiego!

Będziemy się cieszyć jeżeli coraz więcej cudzoziemców poznawać będzie nasz język i naszą kulturę dzięki umowom kulturalnym swoich krajów z P.R.L. Natomiast nasze problemy szkolne i kulturalne nie mieszczą się w umowach między państwowych, ale w Konstytucji i ustawodawstwie wewnętrznym. Nauczmy się jednak wreszcie wyciągać korzyści z istniejących ustaw i walczyć o nowe zarządzenia, jeśli te nie wystarczają.

Jest to jeden z celów akcji politycznej Polaków-obywateli kraju zamieszkania i ich organizacji. Jest to zadanie dla działaczy polskich bez cudzoziłowu, a nie dla cymbałów, którzy mówią: „Ja tam, proszę Pana, w politykę się nie bawię...”

CZY SIĘ COS ZMIEŃILO?

W czasie wizyty w paryskiej Bibliotece Polskiej natrafilismy na starą broszurę zatytułowaną: „Krótki rys wypadków zaszłych w ogóle emigracji polskiej w Londynie”. Jest to czterdziestostronicowy list otwarty omawiający ze szczegółami kłótnie londyńskie i wzajemne oszczerstwa. Tekst ten zaczyna się od słów: „Ogół emigracji polskiej w Londynie do Caléy Emigracji Polskiej. — Bracia!” Pod listem podpisani są: Jan Nepomucen MŁODECKI, Marszałek Zgromadzeń Ogólnych Gabrielski Józef, Sekretarz Zgromadzeń Ogólnych. Data 29.IX.1834 r. — Drukowano: W Wykoczni P. BAUDOIN przy ulicy Mignon Nr. 2.

Tekst ten jest pouczający i nie bez analogii w sytuacji o tymże mieście 130 lat później. — Wprawdzie Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” pisze o swarach na paryskim bruku niemal w tym samym okresie, ale współczesny nam polski Paryż nie posiada ambicji przewodzenia całej polskiej społeczności na kuli ziemskiej!

Opłaty „turystyczne” w Polsce

W Polsce wydano zarządzenie wprowadzające osobną opłatę zwaną „turystyczną”, pobieraną od osób wyjeżdżających prywatnie za granicę.

Opłatę tę uiszcza wyjeżdżający przy zakupie zagranicznych środków płatniczych, jeśli taki przydział otrzymał. Wyjeżdżający do krajów z którymi Polska rozlicza się w rublach, czyli do krajów „socjalistycznych”, są pod względem wysokości opłaty traktowani inaczej od osób wyjeżdżających do krajów „kapitalistycznych”.

Przy indywidualnym wyjeździe do krajów, z którymi Polska rozlicza się w rublach, opłata wynosi 300 zł od zakupionych 500 zł zagranicznych środków płatniczych, oraz 150 zł od każdej następnej kwoty 500 zł.

Przy zakupie zagranicznych środków płatniczych krajów, z którymi Polska nie rozlicza się w rublach, opłata jest wyższa i wynosi 10 zł od każdej rozpoczętej kwoty 10 zł zakupionych środków płatniczych, o ile suma zakupionych środków płatniczych nie przekracza 480 zł, a jeśli przekracza — 12,50 zł. Czyli opłata wynosi 100 procent przy zakupie zagranicznych środków płatniczych do 480 zł, a 125 procent przy wyższych zakupach.

Kilka uwag do tej interesującej informacji. Pierwsza z nich dotyczy stwierdzenia faktu, że każdy kto nie jest zagranicę wysłany w jakiejś „misji” przez Partię czy podległy jej aparat rządowy — musi być od wyjazdu odstraszonej. Innymi słowy P.R.L. (t. zn. komunistyczna Polska) zawiera z innymi krajami układy o zbliżeniu kulturalnym, ułatwianach ruchu turystycznego itd, a jednocześnie czyni wszystko, żeby Polacy zagranicę jeździli jak najmniej. Ponieważ zasadą tego rodzaju układów jest wzajemność, nie będziemy się dziwić jeżeli ostatnie zarządzenia wzbudzą jeszcze większe zastrzeżenia ewentualnych partnerów Polski. Oczywiście, żaden wolny kraj nie może nakazać swoim obywatelom jeździć do innego kraju, który im się nie podoba z tych czy innych względów, ale daje im swobodny wybór. Wybór komunistycznych władz P.R.L. jest jasno wytyczony zarządzeniem o którymś mowa: Polacy mają jeździć jako turyści na Wschód! To zarządzenie nie jest ani przypadkiem, ani tragiczną konsekwencją „socjalistycznej” gospodarki dewizami. Idzie ono po linii wytyczonej przez Gomułkę, kiedy rozpoczął w styczniu 1966 r. walkę z Millem: P.R.L. odwraca się tyłem do Zachodu!

Polacy na Westfalii

W piśmie „Industriekurier” z Düsseldorfu, w numerze 65 z dnia 3.V.67 r. ukazał się artykuł na temat Polonii westfalskiej, który cytujemy w tłumaczeniu:

„Dokładnie 100 lat temu przybyli polskie rodziny do Zagłębia Ruhry. Z samozaparciem i pilnością budowały tu sobie nową egzystencję. Nadrzędna organizacja Polaków w Westfalii, „Związek Polaków w Niemczech” powstała jednak dopiero w 1922 r. Weimarska Republika znała w niektórych radach miejskich Zagłębia polską większość i jeszcze dzisiaj wiele polsko brzmiących nazwisk przypomina dawnych przybyszów z obcego kraju.

Naziści zlikwidowali szereg polskich szkół ludowych i gimnazjum, skonfiskowali domy związkowe, a czynnych członków Polskiego Związku wysłali do obozów koncentracyjnych. Pomimo to wielu niemieckich obywateli zdecydowało się po II wojnie światowej tu zostać i — jako lojalni obywatele — uczestniczyć w budowie nowych demokratycznych Niemiec.

Stefan Szczepaniak, sam polityczny więzień, był jednym z pierwszych, który Związek Polaków w Niemczech, z siedzibą w Bochum ponownie powołał do życia. Ta rola jest kontynuowana przez obecnego przewodniczącego Związku ks. dziekana Styp-Rekowskiego i jego zastępcę Kubiaka. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ci polscy współobywatele mieli swój udział w odbudowie NRF. Jest natomiast rzeczą niezrozumiałą, że dotychczas nie wszyscy westfalscy Polacy otrzymali odszkodowania za swe cierpienia w czasach hitlerowskich. Chyba kompetentne czynniki zastanowią się nad tym, czy nie byłoby wskazane dopomożenie „Związkowi Polaków w Niemczech” w rozwoju jego grup kulturalnych. Wreszcie należałoby postawić również pytanie: „Czy nie można by zbudować Polakom szkoły powszechnej, a nawet gimnazjum?”

Joachim Georg GOERLICH
(Haan (Rhd))

(„Ostatnie Wiadomości”, Mannheim, Nr. 36, 14 maj 1967 r.).

F.J. GOEDHART, Netherlands

**Pragmatic, multilateral, European cooperation — yes.
The sacrificing of our democratic principles — no.**

(Speech delivered in front of Assembly of Council of Europe)

Mr. GOEDHART (Netherlands). — I want to express on behalf of all the Dutch members of this Assembly our feelings of regret for the death of Konrad Adenauer. At the end of the second world war Germany was the most hated nation in the world. Adenauer, who was himself always a staunch enemy of the Nazis, brought about a complete change not only in his own country but in the attitude of all of us towards Germany. It was the wisdom of this great statesman and his policy which brought Germany back as an equal into the family of Western democracies. We pay a tribute to his memory with feelings of the highest respect and gratitude.

I do not want to discuss the events in Greece. I fully agree with what has been said on this issue so ably by Mr. Czernetz. I want to discuss certain elements of the Federspiel Report and the visit of our Secretary-General to Russia. I told him beforehand of my intention to do this, so that he should be aware of what going to happen. I regret that I do not see him present, but that is not my fault.

Everybody knows that the Council of Europe is a useful and likeable institution which expresses all the weaknesses of Europe. Our greatest weakness is that in Europe we disagree on political matters. This is why by definition the Council of Europe cannot possibly have a general policy. On this we all agree, except for our Political Committee, which dauntlessly continues to publish Reports under the title of "on the General Policy of the Council of Europe." Has not the time come to introduce less pretentious terms of reference? The Recommendation which the Political Committee has sent to us presents to me no big difficulties, although I am of the opinion that the text proposed by Lord Gladwyn is much better than the text of the Political Committee. It seems useful to me to have more contacts with the peoples behind the Iron Curtain. Every year during the holiday season the Council of Europe ought to charter a few passenger boats to enable some thousands of people from Poland, Czechoslovakia and so on to pay a free visit to the Western European countries. That may be a better way to spend money than the endless production of documents which, I fear, little by little are going to bury us here. Such contacts would probably have the result that many of the tourists from behind the Iron Curtain would refuse to go home. That would provide a wonderful opportunity to give new proof of our European solidarity of which we always like to speak here in such high terms.

I notice that in his Report Mr. Federspiel goes much further than in his Recommendation. In the Recommendation he merely says that there is no contradiction between a policy of detente and a policy of closer co-operation in Western Europe. I think that that is correct. Whether we believe in a policy of detente or not we have to promote closer co-operation in the free part of Europe. In his Report Mr. Federspiel is much more outspoken and passionate. He says that a policy of detente opens the prospect of an entente between Western and Eastern Europe. Furthermore, he says that the cold war is a distant memory and that the dangers threatening the West now belong to the history books. I believe that these views are highly optimistic and more or less Gaullistic. It is certainly true that the tension between East and West has diminished since the days of Stalin and Khrushchev. We can be glad of this development, but it is more than exaggerated to suggest that there is a prospect of an entente because of this lessening of tension.

The facts are there to prove that the Kremlin is still involved in a systematic anti-Western policy. The Kremlin has stuffed Egypt with weapons, enabling Nasser to make war in the Yemen and to create the greatest possible chaos in Southern Arabia. At the same time, the Kremlin has furnished Syria with great quantities of weapons, so that another war against Israel may break out at any moment. The design is to turn things upside down in the Near East in order to endanger the oil supplies of Western Europe. Moreover, the Kremlin supplied large num-

bers of tanks and aircraft to Algeria recently, so that Boumedienne may threaten Tunisia and Morocco. In this way North Africa has been made into a powder barrel. The main motive is to threaten Western Europe's position. In Europe the Kremlin uses its best efforts to prevent Austria, which urgently needs to join the Common Market, in one way or another from reaching this aim.

The Kremlin continues uninterruptedly the cold war against Western Germany. The government of Mr. Kiesinger, which made what was clearly a conciliatory gesture towards Eastern Europe, is abused in the same way as were the governments of Mr. Erhardt and Konrad Adenauer by Moscow. Day in and day out the false story is told of how militarist and fascist Bonn is always seeking revenge. In South East Asia the Kremlin took over from China in organising assistance for Hanoi. One year ago Moscow was procurings only 25 per cent of the raw material for Ho Chi Minh; today it is about 75 per cent which is coming from Soviet Russia and the satellite countries. The energetic aid given by Moscow explains why this tragic war in Vietnam is still going on.

All those facts are relevant for the existing international situation. They do not indicate that a kind of entente between East and West is in the making. They indicate that the cold war is going on, albeit in a different way than in the days of Stalin and Khrushchev. We are fogging ourselves if we close our eyes to those facts.

What about the situation and "la condition humaine" in the countries behind the Iron Curtain? In the most independent and most liberal of the Communist states, Yugoslavia, the courageous young democratic Socialist Mihailov has been condemned to four and a half years in prison for having said that Yugoslavia is still a Communist dictatorship. In Moscow the authors Daniel and Siniavsky have been sent to a Soviet Concentration Camp for five and seven years for publishing books outside the Soviet Union. Now even the daughter of the cruel dictator Stalin, has fled the Soviet paradise. When she arrived in New York last week she declared: "I have come here in order to seek the self expression that has been denied me so long in Russia." She added: "I believe one's home in anywhere one can feel free." Here Svetlana Stalina was touching on the fundamental fact: notwithstanding all changes which have taken place behind the Iron Curtain, we still have the phenomenon that nobody can feel free in the Soviet Union or in the countries dominated by the Soviet Union.

Furthermore I should like to make a few remarks on the Secretary General's trip to Warsaw. Although I had the impression that Mr. Smithers shares the views contained in the Federspiel report about the feasibility of a marriage between democratic Western and communist Eastern Europe, I must say there is nothing wrong in making trips to the capitals of Eastern Europe with the purpose of giving publicity there to the principles, ideals and the way of functioning of the Council of Europe. The best way to promote that publicity is to print in Polish, Hungarian, and in the other languages used behind the Iron Curtain, a booklet giving all the necessary information. I was sorry to hear that the Secretary General did not do this because, as he has told us in the Standing Committee, he did not have the money. That was a very nice and diplomatic answer. All of us know that such a booklet cannot be distributed under a Communist regime because our human rights, our democratic conception of freedom as formulated in the Statute of the Council of Europe, is dynamite to them.

Nevertheless I think it is a very good idea to give those regimes, if they themselves wish to do so, the chance to adhere to certain Council of Europe conventions and to participate in intergovernmental activities of a technical nature. I believe that that could be very useful. After all, the Iron Curtain has not been raised by us, but by the Communists themselves. At the same time I cannot see the necessity for us, when we want to promote such a policy, to

apologise for certain elements in the Statute of the Council of Europe. With respect to that Statute, we have nothing to apologise for.

Nor can I see any necessity for horse trading with Warsaw with respect to the organisation of the methods of work of our Assembly and its Committees. I understand quite well that the Communist regimes are constantly embarrassed by the existence in our midst of the Committee on Non-Represented Nations. That Committee has often pricked the balloon of Communist propaganda stories and it has often given objective reports on the real situation behind the Iron Curtain. That Committee was showing the flag of European solidarity, of freedom and democracy, and it has shown our constant interest in the fate of the peoples of Eastern Europe living under Communist domination. That task has to be continued and it should not be made a matter of negotiation with Warsaw, Budapest or Prague.

I know that certain business circles in Western Europe are passionately interested in doing more business with the Communist countries and that they are prepared to sacrifice everything to have more trade. But after all the Council of Europe is not a European company to promote trade with Communists; and we, as custodians of moral principles and political ideals, do not have the task of sacrificing those values to the desire for trade in certain circles.

In that context I must say it is rather astonishing that our Secretary General has asked the Governments of the member States of the Council of Europe to bring influence to bear on their Parliamentary Representatives with a view to liquidating our Committee on Non-Represented Nations. In our democratic society our Parliaments control the Governments and they do not control the parliamentarians. Therefore I believe that this was not a very successful move on the part of the Secretary General.

A few weeks ago Mr. Hendrych, First Secretary of the Czechoslovakian Communist Party, made a public speech which was published in Rudo Pravo. There he said: "We are in favour of a dialogue with the West but not with the people who are anti-Communist". What does that mean? Perhaps that he wants a dialogue only with the Communists in Western Europe. As they are taking their orders from the East, he is not in need of a dialogue with them, so that cannot be his intention. Furthermore, everybody here is democratic and anti-Communist, or at any rate non-Communist. There Mr. Hendrych wants a dialogue but says in the meantime he does not want a dialogue with anti-Communists in the West, if that is the case, he does not want a dialogue at all. Thus there is no reason to believe that we can obtain fast results with that kind of dialogue. Therefore I think we should be extremely prudent in handling this kind of matter.

To conclude, I should like to give in a few words a resumé of my standpoint. Peace — yes. Capitulation — no. Closer contacts with the peoples in Eastern Europe — yes. Apologising for our democratic principles — no. A real détente — yes. But fooling ourselves — no. Pragmatic, multilateral, European co-operation — yes. The sacrificing of our democratic principles — no.

POLSKA w europie LA POLOGNE EN EUROPE

Organe mensuel de
L'UNION DES FEDERALISTES POLONAIS
20, rue Legendre, PARIS-XVII^e
Tél. : CAR. 54-28 — C.C.P. 7 323 28

Directeur de la publication: Jerzy JANKOWSKI

Cena - Prix :	France	1,00 F.
	Etranger	1,50 F.
Abon. roczny :	Francja	10,00 F.
	za granicą	15,00 F.
Abon. annuel :	France	10,00 F.
	Etranger	15,00 F.

Imprimerie Les Editions Polyglottes,
232, rue de Charenton - PARIS-XII^e

Commission paritaire N° 42.131